

MORZE TARCZ

KSIEGA 10 KRĘGLI CZARNOKSIEŻNIKA

MORGAN RICE

Morgan Rice
Morze Tarcz
Серия «Кругу
Czarnoksiężnika», книга 10

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696255

Morze Tarcz (Księga 10 Kręgu Czarnoksiężnika):

ISBN 9781632915061

Аннотация

W MORZU TARCZ (Księga 10 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) pośród potężnych znaków Gwendolyn wydaje na świat dziecko swoje i Thora. Po narodzinach ich syna życie Gwendolyn i Thora zmienia się na zawsze, podobnie jak przeznaczenie Kręgu. Pozbawiony wyboru Thor musi wyruszyć w drogę, by odnaleźć swą matkę, musi opuścić żonę i dziecko i wybrać się na niebezpieczną wyprawę z dala od ojczystych ziem, od której zależeć będzie przyszłość Kręgu. Jednak nim wyruszy w drogę, uczestniczy z Gwendolyn w najświetniejszym ślubie w dziejach MacGilów, musi pomóc wzmocnić Legion, kontynuuje swe szkolenie z Argonem i dostępuje honoru, o którym zawsze marzył, gdy zostaje przyjęty do Srebrnej Gwardii i zostaje rycerzem. Gwendolyn nie może dojść do siebie po narodzinach syna, wyjeżdża męża i śmierci matki. Cały Krąg gromadzi się na królewskim pogrzebie, na którym skłócone siostry, Luanda i Gwendolyn, spotykają się w ostatecznej

konfrontacji, która będzie miała tragiczne następstwa. Ze słowami Argona rozbrzmiewającymi w jej głowie, Gwendolyn przeczuwa czyhające na Krąg niebezpieczeństwo i rozwija plany ocalenia swego ludu w przypadku katastrofy. Erec otrzymuje wieści o chorobie swego ojca i zostaje wezwany do ojczyzny, na Wyspy Południowe; Alistair towarzyszy mu w podróży, podczas gdy rozpoczynają się przygotowania do ich ślubu. Kendrick odszukuje swą matkę, której nigdy nie znał, i jest zaszokowany, gdy dowiaduje się, kim ona jest. Elden i O'Connor powracają do swych rodzinnych osad, lecz zastają tam coś, czego się nie spodziewali, podczas gdy Conven jeszcze bardziej pograża się żalu i zbliża ku ciemnej stronie. Steffen nieoczekiwanie odnajduje miłość, a Sandara zaskakuje Kendricka, opuszczając Krąg i wracając do swej ojczyzny w Imperium. Reece wbrew sobie zakochuje się w swej kuzynce, a gdy dowiadują się o tym synowie Tirusa, obmyślają wielką zdradę. Matus i Srog usiłują utrzymać porządek na Wyspach Górnych, lecz gdy Selese tuż przed ślubem dowiaduje się o romansie, rodzą się tragiczne w skutkach nieporozumienia i przez rozpalone namiętności Reece'a nad Górnymi Wyspami zawisa widmo wojny. Sytuacja po stronie McCloudów jest równie niestabilna – pokój wisi na włosku przez niepewne rządy Bronsona i bezwzględne czyny Luandy. Gdy Krąg znajduje się na granicy wojny domowej, w Imperium Romulus odkrywa nową formę magii, która może zniszczyć Tarczę na dobre. Zawiera pakt z ciemną stroną i ośmielony mocą, której nawet Argon nie będzie w stanie powstrzymać, wyrusza w drogę z czymś, co z pewnością może zniszczyć Krąg. Odznaczające się wyszukaną inscenizacją i charakteryzacją MORZE TARCZ to epicka opowieść o przyjaciotach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, o złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść

o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci.

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	16
ROZDZIAŁ DRUGI	21
ROZDZIAŁ TRZECI	30
ROZDZIAŁ CZWARTY	39
ROZDZIAŁ PIĄTY	47
ROZDZIAŁ SZÓSTY	55
ROZDZIAŁ SIÓDMY	63
ROZDZIAŁ ÓSMY	73
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	81
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	88
ROZDZIAŁ JEDENASTY	94
Конец ознакомительного фрагмента.	96

Morgan Rice

Morze Tarcz (Księga 10 Kręgu Czarnoksiężnika)

PRZEKŁAD

MONIKA ZAJĄC

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są

w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. „Wyprawa bohaterów” opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)*

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To

świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

„Zajmujące epickie fantasy Morgan Rice [KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA] zawiera klasyczne cechy gatunku – dobrze zbudowaną scenerię, w dużej mierze inspirowaną starożytną Szkocją i jej historią, oraz ciekawie opisany świat dworskich intryg.”

– *Kirkus Reviews*

„Bardzo podoba mi się, jak Morgan Rice zbudowała postać Thora i świat, w którym żyje. Krainy i stwory, które je zamieszkują, są bardzo dobrze opisane... Podobała mi się [fabuła]. Jest krótka i przyjemna... Postaci drugoplanowych jest w sam raz, by się nie pogubić. W książce opisane są przygody i przerażające chwile, lecz akcja nie jest zbyt groteskowa. To książka idealna dla nastoletniego czytelnika... Początki czegoś niezwykle...”

– *San Francisco Book Review*

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krag Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii

intryguje.”

– *Publishers Weekly*

„[WYPRAWA BOHATERÓW] to szybka i łatwa lektura. Zakończenia rozdziałów sprawiają, że musisz przekonać się, co zdarzy się dalej i nie chcesz odkładać tej książki. Jest w niej kilka literówek, a imiona czasem są pomyłone, lecz to nie odwraca uwagi od opisanych wątków. Zakończenie książki sprawiło, że nabrałem ochoty, by natychmiast kupić kolejną część, co też zrobiłem. Wszystkich dziewięć części Kręgu Czarnoksiężnika dostępnych jest w sklepie Kindle, a Wyprawa bohaterów dostępna jest za darmo na zachętę! Jeśli szukasz szybkiej i ciekawej książki na wakacje, ta będzie w sam raz.”

– *FantasyOnline.ne*

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





**Posłuchaj książek z cyklu KRAĞ
CZARNOKSIĘŻNIKA w formie audiobooka!**

Copyright © Morgan Rice, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem wyjątków

określonych w ustawie U.S. Copyright Act z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana ani zmieniana (w żadnej formie ani w żadnym znaczeniu) ani przechowywana w bazach danych, czy systemach wyszukiwania treści bez uprzedniej zgody autorki.

Ten ebook przeznaczony jest wyłącznie do osobistego użytku. Nie może on być odsprzedawany, ani oddawany innym ludziom. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, prosimy, o zamówienie dodatkowej kopii dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, a nie została ona przez ciebie zamówiona, albo nie została zamówiona do wyłącznego użycia przez ciebie, prosimy o jej zwrócenie i zamówienie własnej kopii. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autorki.

Niniejsze dzieło opisuje historię fikcyjną, imiona, bohaterowie, firmy, organizacje, miejsca, uroczystości i wydarzenia również stanowią wytwór wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub martwych, są przypadkowe.

Ilustracja użyta na okładce Copyright Razzomgame, została wykorzystana na licencji Shutterstock.com

*Earl: Gdybyśmy mieli
Choć dziesięć tysięcy
Tych, co beczynnje w Anglii dzisiaj siedzą!*

*Henry V: Kto tego pragnie? Kuzyn Westmoreland?
Nie, mój kuzynie, jeśli mamy zginąć,
Dość nas jest tutaj na stratę ojczyzny;
Jeśli zwyciężym, im mniejsza nas liczba*

Tem większa częśćka honoru dla wszystkich.

-- William Shakespeare

Henryk V

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gwendolyn wrzeszczała w niebogłosy, a ból rozdzierał ją od środka.

Leżała na plecach wśród polnych kwiatów. Brzuch bolał ją bardziej niż mogła to sobie wyobrazić. Miotła się na boki i parła próbując wydać na świat dziecko. Część niej pragnęła, by to wszystko się skończyło, by mogła znaleźć jakieś bezpieczne miejsce zanim dojdzie do rozwiązania. Choć w głębi serca, Gwen wiedziała, że dziecko narodzi się teraz, niezależnie czy jej się to podoba czy nie.

Boże, błagam, nie teraz – modliła się. – *Jeszcze tylko kilka godzin. Pozwól nam jedynie znaleźć schronienie.* Los zdecydował jednak inaczej. Gwendolyn poczuła ogromny ból, który po raz kolejny przeszył jej ciało, odchyliła się i wrzasnęła, czując jak dziecko obraca się w niej i jest coraz bliżej opuszczenia jej ciała. Wiedziała, że nie ma sposobu, w jaki mogłaby to powstrzymać.

Zamiast tego, Gwen postanowiła przeciw, próbowała oddychać tak, jak uczyły ją tego akuszerki. Próbowała pomóc dziecku opuścić swe łono. Wydawało się jednak, że nic nie pomaga. Cierpiała ogromne katusze.

Znów usiadła i rozejrzała się wokół poszukując jakiegokolwiek oznaki, która mogłaby wskazywać, że w pobliżu znajdują się ludzie.

– POMOCY! – krzyczała wprost ze swych trzewi.

Nikt nie odpowiedział. Gwen była w samym środku pól, z dala od żywej duszy. Jej krzyk słyszały jedynie drzewa i wiatr.

Zawsze starała się być silna, musiała jednak przyznać, że teraz była przerażona. Nie bała się jednak o siebie, ale o swoje dziecko. Co jeśli nikt ich nie znajdzie? Nawet jeśli samodzielnie uda jej się powić niemowlę, w jaki sposób mieliby opuścić to miejsce? Coraz bardziej zaczynała się obawiać, że oboje są skazani na śmierć.

Gwen przypomniła sobie Nibyświat, tę pamiętną chwilę z Argonem, kiedy go oswobodziła, przypomniła sobie wybór, którego musiała dokonać. Poświęcenie. Ten straszny moment, gdy musiała wybrać pomiędzy swoim dzieckiem a mężem. Szlochała teraz przypominając sobie decyzję, której dokonała. Dlaczego życie zawsze wymaga poświęceń?

Gwendolyn wstrzymała oddech, dziecko nagle odwróciło się w niej. Ból był tak ogromny, że czuła go w każdej części swego ciała – od czubka głowy, po koniuszek małego palca u stopy. Czuła się niczym dąb, który od środka rozdzierany jest na dwoje.

Wygięła się w tył i jęknęła. Patrzyła w niebo, starając się wyobrazić sobie, że znajduje się gdziekolwiek indziej, ale nie tutaj. Starła się zająć czymś myśli, przypomnieć sobie coś, dzięki czemu poczuje wewnętrzny spokój.

Pomyślała o Thorze. Przed oczyma stanęło jej ich pierwsze spotkanie, kiedy chodzili pośród tych samych pól, trzymając się za ręce. Krohn skakał, dotrzymując im towarzystwa. Robiła

wszystko, by te obrazy ożyły w jej głowie, próbowała skupić się na szczegółach.

Nie było jej to jednak dane. Otworzyła oczy – szarpnęła nią ból i powróciła do rzeczywistości. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób w ogóle się tu znalazła, w tym miejscu, sama – przypomniawszy jej się Aberthol, opowiadający Gwen o jej umierającej matce. Ruszyła, aby się z nią spotkać. Czy w tej chwili jej matka również umierała?

Nagle Gwen zapłakała, poczuła się, jakby miała zejść z tego świata. Spojrzała w dół i ujrzała główkę dziecka. Odchyliła się i wrzasnęła, parła bez ustanku, była cała spocona, a jej twarz przybrała kolor czerwieni.

Wreszcie nadeszło ostatnie parcie, po którym płacz wzbił się w powietrze.

Płacz dziecka.

Wtem niebo zrobiło się ciemne. Gwen spojrzała w górę i z przerażeniem obserwowała jak wspaniały słoneczny dzień, bez żadnego ostrzeżenia zamienia się w noc. Obserwowała jak oba Słońca poddawały się zaćmieniu przez dwa Księżyce.

Całkowite zaćmienie obu Słońc. Gwen nie mogła w to uwierzyć – wiedziała, że jest to zjawisko, które zdarza się raz na dziesięć tysięcy lat.

Z coraz większym przerażeniem obserwowała jak zanurza się w ciemności. Nagle, niebo wypełniło się błyskawicami, smugami światła spadającymi w dół, a Gwen poczuła, że uderzają w nią małe grudki lodu. Nie potrafiła pojąć, co się dzieje. Aż do

momentu, w którym zdała sobie sprawę, że to grad.

Doskonale wiedziała, że to wszystko było doniosłym znakiem, który pojawił się dokładnie w chwili narodzin jej dziecka. Spojrzała na nie i już wiedziała, że ten mały chłopiec jest bardziej potężny, niż mogłaby przypuszczać. Wiedziała, że pochodzi on z innego królestwa.

Kiedy tylko przyszedł na świat, płacząc, Gwen instynktownie schyliła się i wzięła go na ręce. Przycisnęła go do swych piersi, jeszcze zanim ześlizgnął się na trawę i błoto. Osłoniła go przed gradem, okrywając swoimi ramionami.

Mały zapłakał, a kiedy to uczynił, zatrzęsła się ziemia. Gwen poczuła jak drży pod nią grunt. W oddali ujrzała skały, toczące się po zboczach wzgórz. Czuła jak moc tego dziecka przez nią przenika, jak przenika przez cały wszechświat.

Gwen trzymała małego kurczowo, jednak po chwili poczuła, że słabnie, czuła, że straciła za dużo krwi. Coraz bardziej kręciło jej się w głowie, była za słaba, by się poruszyć. Ledwie umiała utrzymać własne dziecko, które nie przestawało płakać na jej piersi. Już prawie nie czuła nóg.

Coraz bardziej wnikało w nią przeświadczenie, że tutaj umrze, na tym polu, z tym maleństwem. Przestawało jej zależeć na niej samej – ale nie potrafiła znieść myśli, że umrze jej dziecko.

– NIE! – wrzasnęła ostatkiem sił. Musiała wykrzyczeć niebiosom swój protest.

Kiedy Gwen odrzuciła swoją głowę w tył, leżąc płasko na ziemi, w odpowiedzi również usłyszała wrzask. Nie był to jednak

ludzki krzyk. Należał do jednej ze starożytnych istot.

Gwen zaczęła tracić świadomość. Spojrzała w górę, choć jej oczy zaczęły się zamykać, i zobaczyła coś, co wydało jej się niebiańskim objawieniem. Była to potężna bestia, która nurkowała po nią w dół. Wydawało jej się, że było to stworzenie, które kochała.

Ralibar.

Ostatnią rzeczą, którą Gwen ujrzała, zanim jej oczy zamknęły się na dobre, był lecący w dół Ralibar. Ralibar ze swoimi ogromnymi, świecącymi oczami i swoimi starożytnymi czerwonymi łuskami. Otworzył szpony i wycelował dokładnie tak, aby ją uchwycić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Luanda stała jak wryta, gapiąc się w szoku na leżące obok zwłoki Koovii. Wciąż trzymała w ręce zakrwawiony sztylet, ledwie była w stanie uwierzyć w to, co się właśnie stało.

Wszyscy uczujący zamilkli, patrząc na nią z niedowierzaniem. Nikt nie drgnął nawet o włos. Biesiadnicy spoglądali na martwe ciało Koovii, które leżało u jej stop. Niepokonany Koovia, wielki wojownik królestwa McCloudów, w swej waleczności ustępujący jedynie samemu Królowi. Napięcie w sali stało się tak ogromne, że można było ciąć je siekierą.

Jednak w największym szoku wciąż pozostawała Luanda. Czuła pieczenie w dłoni. I sztylet, który ciągle się tam znajdował. Fala gorąca przeszła jej ciało. Świadomość, że właśnie zabiła tego człowieka sprawiała, że czuła się szczęśliwa i przerażona jednocześnie. Przede wszystkim była zaś dumna. Dumna, że to właśnie ona powstrzymała tego potwora, zanim zdążył położyć swe łapska na jej mężu, czy na pannie młodej. Dostał to, na co zasłużył. Zresztą wszyscy Ci McCloudowie to dzikusy.

Nagle usłyszała krzyk, spojrzała w górę i zobaczyła jednego z dowódców Koovii – dzieliło ją od niego zaledwie kilka stóp – postanowił działać i z zemstą w oczach ruszył w jej kierunku. Uniósł swój miecz wysoko, celując prosto w jej pierś.

Luanda była wciąż zbyt otepiała, aby zareagować, a jej

przeciwnik przemieszczał się bardzo szybko. Przygotowała się na to, co ją czeka. Wiedziała że już za moment poczuje w sercu zimny kawałek metalu. Było jej to jednak obojętne. Cokolwiek miałoby się stać, nie miało to już znaczenia – teraz, kiedy zabiła tego człowieka.

Zamknęła swe oczy czekając na to, aż dosięgnie ją stal, była gotowa na śmierć. Jakże się zdziwiła, gdy zamiast tego, usłyszała brzęk metalu.

Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą Bronsona, który uniósł swój miecz i zablokował cios rywala. Była naprawdę zaskoczona. Nie podejrzewała, że może na niego liczyć, że to właśnie on, ze swoją jedyną sprawną ręką, może zablokować tak potężny cios. Przede wszystkim była jednak poruszona tym, jak bardzo mu na niej zależało. Zależało mu tak bardzo, że zaryzykował dla niej życie.

Bronson niezwykle zręcznie posługiwał się swoim jedynym mieczem. Jego umiejętności i siła sprawiły, że udało mu się dźgnąć przeciwnika prosto w serce, na miejscu zadając mu śmierć.

Luanda nie umiała w to uwierzyć. Bronson kolejny raz uratował jej życie. Poczuła w stosunku do niego głęboką wdzięczność i świeży przyływ miłości. Być może był silniejszy, niż dotychczas podejrzewała.

Krzyki dobyły się z obu stron sali – McCloudowie i MacGilowie ruszyli na siebie nawzajem, pełni żądz, aby przekonać się, który z rodów pierwszy padnie martwy.

Wszystkie pozory grzeczności, które miały miejsce w dniu ślubu i podczas uczty, zniknęły. Teraz doszło do otwartej wojny: wojownik przeciwko wojownikowi. A wszystko podsycane przez alkohol i gniew, przez niegodziwość, której dopuścili się McCloudowie, próbując znieważyc pannę młodą.

Mężczyźni przeskakiwali nad ciężkimi drewnianymi ławami, wzajemnie pragnąc swojej śmierci – dźgając się, targając za twarze, mocując się ze sobą nad stołami, walcząc wśród strawy i wina. Przestrzeń była wypełniona ludźmi w tak dużym stopniu, że walczącym ledwie starczało miejsca na jakiekolwiek manewry. Wszyscy charczeli i dźgali, i krzyczeli, i płakali – miejsce pograżyło się w zupełnym, krwawym, chaosie.

Luanda próbowała zebrać się w sobie. Walka była szybka i intensywna, mężczyźni przepelnieni żądzą krwi, byli tak zajęci walką, że nikt oprócz niej nie miał czasu, aby rozejrzeć się wokół i zauważyć co dzieje się na obrzeżach sali. Luanda obserwowała to wszystko z dalszej perspektywy. Była jedyną osobą, która zauważyła, że McCloudowie prześlizgują się w stronę ścian, powoli ryglują po kolei drzwi, a następnie wymykają się na zewnątrz.

Kiedy Luanda nagle zrozumiała co się dzieje, włosy zjeżyły jej się na karku. McCloudowie chcieli zamknąć wszystkich w budynku – i celowo z niego umykali. Luanda widziała jak łapią za ścienne pochodnie, w panice jeszcze szerzej otworzyła oczy. Z przerażeniem zrozumiała, że McCloudowie zamierzają spalić salę, wraz ze wszystkimi uwięzionymi w niej ludźmi – nawet

pomimo tego, że znajdowali się w niej ich własni ziomkowie.

Mogła się tego domyślać. McCloudowie są bezwzględni i robią wszystko, by zwyciężyć.

Luanda rozejrzała się, obserwując jak wygląda sytuacja wokół niej. Udało jej się dostrzec jedne drzwi, które wciąż pozostawały niezaryglowane.

Odwróciła się, wypłatała z bójki i jak najprędzej pobiegła w stronę otwartych drzwi, przepychając się między mężczyznami, którzy stali jej na drodze. Zauważyła, że jeden z McCloudów również biegnie do owych drzwi, położonych w najodleglejszej części sali. Teraz biegła szybciej, ledwie starczało jej tchu, była jednak zdeterminowana, aby go pokonać.

McCloud nie widział Luandy. Kiedy dotarł do drzwi, chwycił grubą drewnianą belkę i starał się zablokować drzwi. Luanda zasłała go od tyłu, wyciągnęła swój sztylet i ugodziła go prosto w plecy.

McCloud zawył, wygiął się w tył i opadł na ziemię.

Kobieta chwyciła belkę, wyszarpała ją z drzwi, a następnie je otworzyła i wybiegła na zewnątrz.

Tam, przyzwyczajając swe oczy do ciemności, Luanda rozejrzała się dookoła. Dostrzegła McCloudów, którzy ustawiali się wokół sali, wszyscy dzierżyli pochodnie i przygotowywali się do podpalenia budynku. Luandę ogarnęła panika. Nie mogła pozwolić, aby to się stało.

Odwróciła się, pobiegła do sali, odnalazła Bronsona i wyszarpała go z miejsca bitwy.

– McCloudowie! – krzyknęła nagle. – Przygotowują się do spalenia budynku! Pomóż mi! Niech wszyscy wychodzą! NATYCHMIAST!

Gdy do Bronsona dotarły słowa jego żony, z przerażeniem otworzył oczy i, chwala mu za to, bez wahania ruszył w stronę przywódców MacGilów, wydostawał ich poza bijatykę, a następnie krzyczał do nich i gestykulował wskazując otwarte drzwi. Ci na szczęście go zrozumieli i od razu wydali rozkazy swoim ludziom.

Luandę bardzo ucieszyło, że MacGilowie wycofują się z walki i biegną w stronę otwartych drzwi, które udało jej się dla nich zachować.

Kiedy ci się organizowali, Luanda z Bronsonem nie marnowali czasu. Pobiegli do jedyne go wyjścia, gdzie kobieta z przerażeniem odkryła, że kolejny człowiek McCloudów dopadł drzwi, podniósł belkę i próbuje zablokować przejście. Nie sądziła jednak, aby i tym razem udało jej się pokonać ryglującego.

Zareagował Bronson. Zamachnął się swoim mieczem ponad głowami innych, pochylił się do przodu i rzucił orężem.

Miecz leciał w powietrzu obracając się wokół własnej osi, aż ostatecznie utkwiał w plecach McClouda.

Żołnierz krzyknął i osunął się na posadzkę, a Bronson dotarł do drzwi i w momencie otworzył je na oścież.

Dziesiątki MacGilów przedostało się przez otwartą wnękę, byli wśród nich Luanda i Bronson. Powoli sala opustoszała ze wszystkich MacGilów. McCloudowie pozostali zaś w środku,

stojąc i zastanawiając się dlaczego ich przeciwnicy nagle się wycofują.

Kiedy już wszyscy byli na zewnątrz, Luanda trzasnęła drzwiami, wraz z innymi podniosła belkę i zaryglowała drzwi od zewnątrz, tak, aby żaden McCloud nie mógł się wydostać.

McCloudowie pozostający na zewnątrz zaczęli orientować się co się dzieje. Zaczęli porzucać swoje pochodnie i wyciągać miecze, przygotowując się do ataku.

Jednak Bronson wraz z pozostałymi nie dali im na to zbyt wiele czasu. Natarli na wojowników McCloudów ze wszystkich stron, dźgając ich i zabijając kiedy ci kładli swoje pochodnie i szukali broni. Większość McCloudów wciąż znajdowała się w środku, a tych kilkadziesiąt osób pozostających na zewnątrz nie było w stanie powstrzymać pędzących, wściekłych MacGilów, którzy, prowadzeni żądzą krwi, bardzo szybko ich pozabijali.

Luanda i Bronson stali ramię w ramię, obok nich znajdowali się MacGilowie. Wszyscy oddychali ciężko, ciesząc się, że udało im się przeżyć. Patrzyli z szacunkiem na Luandę – wiedzieli, że zawdzięczają jej życie.

Kiedy tak stali, usłyszeli walenie próbujących wydostać się McCloudów. MacGilowie powoli się odwrócili i, niepewni tego co mają czynić, spojrzeli na Bronsona w oczekiwaniu na rozkazy.

– Musisz zdusić bunt – dosadnie stwierdziła Luanda. – Powinieneś potraktować ich z tą samą brutalnością, z jaką oni próbowali potraktować ciebie.

Bronson spojrzał na nią niepewnie, widziała w jego oczach

wahanie.

– Ich plan nie zadziałał – powiedział. – Są teraz tam uwięzieni. Są zakładnikami. Wsadziliśmy ich do aresztu.

Luanda pokręciła gwałtownie głową.

– NIE! – krzyknęła. – Ci ludzie szukają w tobie przywódcy. Ta część świata jest brutalna. Nie jesteśmy w Królewskim Dworze. Tu króluje przemoc. To ona wzbudza szacunek. Ludzie, którzy znajdują się w środku nie mogą pozostać przy życiu. Musisz to zrobić, dla przykładu!

Bronson zjeżył się przerażony.

– O czym ty mówisz? – zapytał. – Uważasz, że powinniśmy spalić ich żywcem? Że powinniśmy okazać się takimi samymi rzeźnikami, jakimi oni usiłowali być względem nas?

Luanda zamknęła usta.

– Jeśli nie weźmiesz na poważnie moich słów, przekonasz się, że kiedyś cię zamordują.

MacGilowie stali wokół, obserwując ich kłótnię. Luanda trzęsła się z frustracji. Kochała Bronsona – koniec końców, uratował jej życie. Jednak w tej chwili nienawidziła jego słabości i tego jak bardzo potrafił być naiwny.

Miała dość władców, którzy dokonują błędnych decyzji. Bolało ją, że nie może rządzić sama. Wiedziała, że byłaby lepszym władcą niż ktokolwiek inny. Wiedziała, że czasami konieczne jest, aby kobieta rządziła w męskim świecie.

Luanda, wygnana i marginalizowana przez całe swoje życie, wiedziała, że nie może już dłużej dać spychać się na boczny tor.

W końcu to dzięki niej wszyscy ci mężczyźni zachowali życie. Co więcej, była córką króla, córką pierworodną i nikt nie mógł jej tego zabrać.

Bronson wciąż stał oglądając się do tyłu, wahając się. Luanda widziała, że nie jest on w stanie podjąć żadnej akcji.

Dłużej już nie mogła tego znieść. Wrzasnęła we wściekłości, ruszyła do przodu, porwała pochodnię jednemu z towarzyszy i, na oczach wszystkich tych mężczyzn, którzy obserwowali ją w podniosłym milczeniu, ruszyła do przodu trzymając pochodnię w górze, a następnie rzuciła ją przed siebie.

Pochodnia rozświetliła noc, leciała wysoko w powietrzu obracając się wokół własnej osi, aż w końcu wylądowała na szczycie krytego strzechą dachu sali zabaw.

Luanda z satysfakcją obserwowała jak płomienie zaczynają się rozprzestrzeniać.

Z ust znajdujących się wokół MacGilów dobył się krzyk, a następnie wszyscy podążyli za jej przykładem. Zaczęli chwycić za pochodnie i nimi rzucać. Wkrótce płomienie rosły coraz wyżej, a skwar stawał się coraz mocniejszy – osmalał jej twarz i oświeślał noc. Po chwili wielka pożoga objęła całą salę.

Krzyki McCloudów uwieczonych w środku przeszywały ciemność. Podczas gdy Bronson się wzdrygał, Luanda stała tam zimna, twarda, bezlitosna, z rękami opartymi na biodrach, czerpała satysfakcję z każdego wrzasku.

Odwróciła się do Bronsona, który wciąż stał z ustami otwartymi ze zdziwienia.

– Oto, – powiedziała niepokornie – co znaczy panować.

ROZDZIAŁ TRZECI

Reece szedł obok Stary. Ramię w ramię. Ich ręce kołysały się blisko siebie, od czasu do czasu ocierając się wzajemnie. Nie trzymali się za nie. Szli przez niekończące się pola kwiatów, wysoko po górskim pasmie. Tereny te olśniewały kolorami i pięknym widokiem na Wyspy Górne. Szli w ciszy. Reecem targały sprzeczne emocje. Ledwie wiedział co powiedzieć.

Wrócił myślami do tej pamiętnej chwili, kiedy wraz ze Starą zamknęli oczy nad górskim jeziorem. Odesłał wówczas swoją świętę, chcąc spędzić z nią na osobności nieco czasu. Towarzysze niechętnie zostawiali ich samych, szczególnie Matus, który aż za dobrze znał ich historię – jednak Reece nalegał. Stara była niczym magnes, który go do siebie przyciągał, Reece nie chciał, aby ktokolwiek im towarzyszył. Potrzebował czasu, aby odbudować ich znajomość, porozmawiać z nią, zrozumieć dlaczego patrzyła na niego z taką samą miłością, jaką on żywił do niej. Aby zrozumieć czy wszystko to jest prawdziwe i co tak naprawdę się z nimi dzieje.

Podczas tej wędrówki, serce Reece'a waliło jak oszalałe. Nie był pewien gdzie zacząć, co zrobić następnie. Rozsądek podpowiadał, wrzeszczał wręcz, aby się odwrócił i uciekał od Stary tak daleko, jak to tylko możliwe. Aby zaciągnął się na najbliższy statek na kontynent i nigdy więcej o niej nie myślał. Aby powrócił do swej przyszłej żony, która wiernie na niego

czekała. Przecież Selese go kochała, a on kochał Selese. Ich ślub miał się odbyć lada dzień.

Reece wiedział, że to byłoby najrozsądniejsze. Że to właśnie *należało* zrobić.

Ale jego rozsądek był owładnięty przez emocje, przez pasję, których nie potrafił kontrolować, które sprawiały, że nie był w stanie poddać się swoim racjonalnym przemyśleniom. Były to siły, które zmuszały go do pozostania tutaj, przy Starze. Do wędrowania przez te pola przy jej boku. Była to nieokiełznana część jego osobowości, ta, której nigdy nie mógł zrozumieć, która nim kierowała przez całe jego życie. Część, która kazała mu ulegać impulsom, kierować się sercem. Nie zawsze skutkowało to najlepszymi decyzjami. Ale potężna siła pełna pasji często ogarniała Reece'a, a ten nie zawsze był w stanie ją kontrolować.

Kiedy tak szedł obok Stary, zastanawiał się czy czuła to samo co on. Podczas marszu, zewnętrzna część jej ręki otarła się o niego i, jak mu się wydawało, zobaczył, że Stara lekko uniosła kącik ust, delikatnie się uśmiechając. Trudno jednak było odszyfrować jej intencje – jak zawsze. Pamiętał, że kiedy spotkali się po raz pierwszy, jako małe dzieci, poczuł się oszołomiony, niezdolny do ruchu, całymi dniami niezdolny do myślenia o czymkolwiek innym, niż ona. Było coś w jej przezroczyście oczach, coś w jej postawie, dumnej i szlachetnej. Patrzyła na niego niczym wilk, co było zachwycające.

Jako dzieci wiedzieli, że związki pomiędzy kuzynami są zabronione. Nigdy ich to jednak nie zniechęciło. Coś między nimi istniało. Coś silnego, zbyt silnego, coś co przyciągało ich do siebie, niezależnie od tego, co myślał na ten temat świat. Bawili się razem, od zawsze byli dla siebie przyjaciółmi, zawsze woleli swoje towarzystwo, niż towarzystwo kogokolwiek innego spośród swoich kuzynów i przyjaciół. Kiedy odwiedzili Wyspy Górne Reece zauważył, że spędza z nią każdą chwilę wędrówki. Ona odpłacała się tym samym, wyrывая do jego boku, całymi dniami czekając na brzegu, aż nadpłynie jego łódź.

Początkowo byli jedynie przyjaciółmi. Lecz kiedy podrośli, pewnej ważnej nocy pod gwiazdami wszystko się zmieniło. Ich przyjaźń nie była już zabroniona, zmieniła się w coś mocniejszego, większego niż oni oboje, w coś czego żadne z nich nie potrafiło odrzucić.

Reece opuścił Wyspy marząc o niej, strapiiony do granic możliwości, przez wiele miesięcy niezdolny do snu. Każdej nocy w łóżku widział jej twarz i marzył, by ocean i prawo rodowe nie stały już dłużej pomiędzy nimi.

Wiedział, że Stara czuła to samo. Dostawał od niej niezliczone listy, przynoszone mu przez armię sokołów, listy w których wyrażała swoją miłość. Odpisywał, jednak nie tak pięknie i mądrze jak ona.

Dzień, w którym dwa rody MacGilów musiały się rozejść, był jednym z najgorszych dni w jego życiu. Był to dzień, w którym zmarł najstarszy syn Tirusa, otruty napojem przeznaczonym

przez Tirusa dla ojca Reece'a. Tym samym Tirus obraził Króla. Rozpoczął się rozłam. Był to dzień, w którym serce Reece'a – i Stary – umarło w środku. Jego ojciec był wszechpotężny, podobnie jak ojciec Stary, obojgu im zakazano kontaktować się z kimkolwiek spośród „tych drugich” MacGilów. Nigdy więcej nie odwiedzali już tamtych stron, a Reece dręczył się całymi nocami, zastanawiając się, co musiałby zrobić, aby ponownie zobaczyć Starę. Marzył o spotkaniu z nią. Z jej listów wiedział, że ona czuła to samo.

Pewnego dnia jej listy przestały przychodzić. Reece podejrzewał, że były w jakiś sposób przechwytywane, nie mógł jednak być tego zupełnie pewien. Podejrzewał również, że wiadomości, które on wysyła, także do niej nie docierają. Z czasem, Reece, nie będąc w stanie dłużej funkcjonować, musiał podjąć bolesną decyzję i usunąć ze swego serca myśli o Starze. Musiał oczyścić z tych myśli swój umysł. W różnych sytuacjach jej twarz będzie jednak stawiała przed jego oczami, a on nigdy nie przestanie się zastanawiać co się z nią stało. Czy ona też wciąż o nim myśli? Czy może wyszła za kogoś innego?

Spotkanie z nią przywołało wszystkie te wspomnienia. Reece pojął jak żywe jest to wszystko w jego sercu, czuł się jakby nigdy jej nie opuścił. Była teraz starszą, pełniejszą, a nawet piękniejszą wersją samej siebie. Jeśli to w ogóle możliwe. Była kobietą. A jej spojrzenie było jeszcze bardziej przeszywające niż kiedykolwiek wcześniej. W tym spojrzeniu Reece odnalazł miłość. Poczuł, że Stara wciąż żywi do niego to samo uczucie, które on czuje do

niej.

Chciał myśleć o Selese. Był jej to winny. Jednak im bardziej się starał, tym bardziej wydawało mu się to niemożliwe.

Stara i Reece szli razem wzdłuż górskiego pasma. Oboje milczeli, nie za bardzo wiedząc co powiedzieć. Oboje zastanawiali się gdzie zacząć, aby wypełnić całą tę przestrzeń, która dzieliła ich przez te wszystkie stracone lata.

– Słyszałam, że niedługo bierzesz ślub – Stara ostatecznie przerwała milczenie.

Reece poczuł ukłucie w żołądku. Myśl o poślubieniu Selese zawsze sprawiała, że czuł miłość i podekscytowanie, ale teraz, kiedy był ze Starą, poczuł się zdruzgotany, jakby ją zdradził.

– Przepraszam – odpowiedział.

Nie wiedział co innego może odrzec. Chciał powiedzieć: *Nie kocham jej. Teraz wiem, że to był błąd. Chcę wszystko zmienić. Chciałbym poślubić ciebie.*

Ale on *kochał* Selese. Musiał to przed sobą przyznać. Był to inny rodzaj miłości, może nie tak intensywny jak miłość do Stary. Reece był skołowany. Nie wiedział, co tak naprawdę myśli czy czuje. Które uczucie było silniejsze? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak skala miłości? Jeśli kogoś kochasz, czy to nie oznacza, że kochasz tę osobę niezależnie od wszystkiego? W jaki sposób jedna miłość mogłaby być silniejsza od innej?

– Kochasz ją? – zapytała Stara.

Reece odetchnął głęboko, czuł że został pochwycony w emocjonalne sidła, ledwie wiedząc co odpowiedzieć. Szli tak

przez chwilę, Reece zbierał swoje myśli, aż w końcu był w stanie odpowiedzieć.

– Tak, – odrzekł – nie mogę skłamać, że jest inaczej.

Reece zatrzymał się i po raz pierwszy chwycił Starę za rękę.

Ona również przystanęła i zwróciła się w jego stronę.

– Ale ciebie również kocham – dodał.

Widział, że jej oczy napełniają się nadzieją.

– Czy może mnie kochasz bardziej? – spytała delikatnie, z nadzieją w głosie.

Reece myślał ciężko.

– Kochałem cię przez całe swoje życie – odrzekł w końcu.

– Byłaś obliczem jedynej miłości, jaką kiedykolwiek znałem. Jesteś ucieleśnieniem tego, co znaczy dla mnie miłość. Kocham Selese. Jednak z tobą... jesteś niczym część mnie. Niczym część mnie samego. Niczym coś, bez czego nie mogę istnieć.

Stara uśmiechnęła się. Wzięła go za rękę, szli dalej obok siebie. Stara zakołysała nimi delikatnie, uśmiechając się przy tym.

– Nawet nie wiesz ile nocy spędziłam tęskniąc za tobą – wyznała patrząc w dal. – Moje słowa rodziły się na tak wielu skrzydłach sokołów – jedynie po to, by mój ojciec mógł je zniszczyć. Po rozłamie, nie mogłam do ciebie dotrzeć. Próbowałam nawet, raz czy dwa, wymknąć się na statek płynący na kontynent – zostałam jednak schwytana.

Reece był poruszony do głębi, słuchając tego wszystkiego. Nie miał o tym pojęcia. Zawsze zastanawiał się co Stara czuła

do niego po rozłamanie. Słyszając to, co mówiła, poczuł się do niej przywiązany bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Teraz miał pewność, że nie tylko on czuł się w ten sposób. Nie czuł już, że jest tak bardzo szalony. To, czego oboje doświadczyli, było prawdziwe.

– Nigdy nie przestałem o tobie myśleć – odpowiedział Reece.

W końcu dotarli na sam szczyt góry, zatrzymali się i stali obok siebie, wspólnie spoglądając na Wyspy Górne. Mieli stąd doskonały widok, na wyspy przytwierdzone do oceanu i unoszącą się nad nimi mgłę, na rozbijające się u dołu fale oraz setki statków Gwendolyn, które cumowały wzdłuż skalistego wybrzeża.

Stali tam w milczeniu przez bardzo długi czas, trzymając się za ręce, rozkoszując się chwilą. Rozkoszując się byciem razem. Nareszcie. Po wszystkich tych latach, wszystkich ludzkich staraniach i życiowych momentach, które usiłowały ich rozdzielić.

– Nareszcie jesteśmy razem – jednak, co ironiczne, to właśnie teraz jesteś najbardziej zobowiązany. Zbliży się dzień twojego ślubu. Zdaje się, że zawsze pojawia się przeznaczenie, które wdziera się pomiędzy nas dwoje.

– Ale jestem tu teraz – odpowiedział Reece. – Może jednak przeznaczenie stara się przekazać nam coś innego?

Mocno ścisnęła jego dłoń, a Reece odpowiedział tym samym. Kiedy się rozglądali, serce Reece’a łomotało jak szalone – nigdy w swoim życiu nie czuł się tak skołowany. Czy właśnie tak miało być? Czy właśnie tutaj miał natknąć się na Starę? Czy

miał zobaczyć ją przed swoim ślubem, po to by uchronić się przed popełnieniem błędu, wychodząc za kogoś innego? Czy przeznaczenie, po tych wszystkich latach, próbowało jednak ich połączyć?

Reece nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tak właśnie było. Czuł, że wpadł na nią za sprawą pewnego zrządzenia losu. Być może była to jego ostatnia szansa, jaką dostał przed ślubem.

– Co los złączył, tego człowiek nie rozdzieli – powiedziała Stara.

Jej słowa przeniknęły Reece’a. Stara patrzyła w jego oczy w hipnotyzujący sposób.

– Tak wiele zdarzeń w naszym życiu miało nas trzymać od siebie z daleka – rzekła Stara – Nasze rody. Nasze ojczyzny. Ocean. Czas... Teraz nic nie jest w stanie nas rozdzielić. Tyle lat minęło, a nasza miłość wciąż pozostaje silna. Czy to zbieg okoliczności, że spotkałeś mnie właśnie teraz, przed swoim ślubem? Los stara się nam coś przekazać. Jeszcze nie jest za późno.

Reece popatrzył na nią, a serce chciało wyskoczyć mu z piersi. Odwzajemniła jego spojrzenie. W jej przezroczystych oczach odbijały się: niebo i ocean. W tych samych oczach skrywała się cała miłość do niego. Czuł się niepewnie jak nigdy w życiu. Czuł, że jest niezdolny do racjonalnego myślenia.

– Chyba powinienem odwołać ślub – powiedział.

– Nie ja będę o tym decydować – odpowiedziała. – Sam powinieneś zajrzeć głęboko w swoje serce.

– W chwili obecnej – powiedział – moje serce podpowiada mi, że to *ty* jesteś moją jedyną miłością. Jesteś osobą, którą zawsze kochałem.

Spojrzała na niego żarliwie.

– Nigdy nie kochałam nikogo innego – powiedziała.

Reece nie był w stanie nic na to poradzić. Nachylił się, a ich usta się spotkały. Poczuł, że świat zatrzęsął się wokół niego. Kiedy odwzajemniła jego pocałunek, zrozumiał, że miłość całkowicie go pochłonięła.

Trwali w tym pocałunku tak długo, że w końcu nie byli w stanie oddychać. Reece pojął, że pomimo tego, że wszystko w nim próbowało się temu sprzeciwić, nigdy nie mógłby poślubić kogoś innego niż Stara.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gwendolyn stała na złotym moście. Ścisnęła jego poręczę i patrzyła w dół na płynącą wartko rzekę. Kaskady wrzały ze złości, wzbijając się coraz wyżej. Nawet tutaj mogła poczuć orzeźwiającą mgiełkę potoku.

– Gwendolyn, kochana.

Odwróciła się i zobaczyła Thorgrina stojącego daleko na brzegu, oddalonego może o dwadzieścia stóp, uśmiechniętego, wyciągającego do niej rękę.

– Chodź do mnie – błagał. – Przejdź przez rzekę.

Ucieszona, że go zobaczyła, Gwen zaczęła iść w jego kierunku – wtem inny głos powstrzymał ją przed powzięciem kolejnych kroków.

– Matko – usłyszała delikatny głos.

Obróciła się i ujrzała chłopca na przeciwległym brzegu. Miał może dziesięć lat, był wysoki, dumny. Miał szerokie ramiona, szlachetny podbródek, silną szczękę i błyszczące, szare oczy. Jak jego ojciec. Był odziany w przepiękną błyszczącą zbroję, wykonaną z materiału, którego nie potrafiła rozpoznać. Broń wisiała mu u pasa. Nawet stąd mogła poczuć jego moc. Moc, która była nie do pokonania.

– Matko, potrzebuję cię – powiedział.

Chłopiec wyciągnął dłoń, a Gwen udała się w jego kierunku. Zatrzymała się, spoglądała to na Thora, to na swego syna –

każdy z nich wyciągał do niej dłoń. Była zdeorientowana. Nie miała pojęcia, w którą stronę pójść.

Kiedy tak stała, most nagle się pod nią zawalił.

Gwendolyn wrzasnęła, czując jak opada w stronę płynącej w dole rzeki.

Wpadła do lodowatej wody, a szalejące wody miały ją wte i wewte. Wynurzała się, aby zażyć powietrza. Oglądała się za swoim synem i mężem, którzy stali na przeciwległych brzegach wyciągając do niej ręce. Obaj jej potrzebowali.

– Thorgrinie! – krzyknęła.

A po chwili:

– Synu!

Gwen, wrzeszcząc, starała się sięgnąć ich obu – szybko jednak poczuła, że spada w dół wodospadu.

Wrzasnęła kiedy straciła ich z oczu – spadała przez setki stóp, wprost na znajdujące się w dole ostre skały.

Gwendolyn obudziła się krzycząc.

Rozejrzała się wokół, pokryta zimnym potem, zdeorientowana, zastanawiając się, gdzie się znajduje.

Powoli zdała sobie sprawę, że leży w łóżku, w przyćmionej zamkowej komnacie. Pochodnie migotały tuż przy ścianach. Mrugnęła kilka razy, starając się pojąć co się właśnie stało, wciąż oddychała z trudem. Powoli zaczynała rozumieć, że był to tylko sen. Straszny sen.

Kiedy oczy Gwen przywykły do światła, zauważyła kilkoro opiekunów znajdujących się w jej pokoju. Rozpoznała Illeprę

oraz Selese, które stały po obu jej bokach i robiły jej zimne okłady na rękach i nogach. Selese delikatnie otarła jej czoło.

– Ciiii... – uspokajała ją Selese. – To był tylko zły sen, pani.

Gwendolyn poczuła, że ktoś ściska jej dłoń, rozejrzała się, a jej serce ucieszyło się na widok Thorgrina. Klęczał przy jej boku, trzymając ją za rękę. Jego oczy rozpromieniły się z radości na widok tego, że się obudziła.

– Kochana, – powiedział – nic ci nie jest.

Gwendolyn mrugnęła, starając się dojść do tego, gdzie się znajduje, dlaczego jest w łóżku i co robią tu ci wszyscy ludzie. Po chwili, kiedy spróbowała się poruszyć, poczuła ogromny ból brzucha – wtedy sobie przypomniała.

– Moje dziecko! – krzyknęła, po czym zastygła. – Gdzie on jest? Czy chłopiec żyje?

Gwen w panice próbowała odczytać, co mówią znajdujące się wokół niej twarze. Thor mocno ścisnął jej rękę i uśmiechnął się szeroko – już wiedziała, że wszystko jest w porządku. Ten uśmiech uspokajał ją przez całe życie.

– Tak, żyje – odpowiedział Thor. – Dzięki bogu. I Ralibarowi. Ralibar w samą porę przyniósł was tutaj.

– Jest w pełni zdrow – dodała Selese.

Nagle krzyk przeszył powietrze. Gwendolyn rozejrzała się i ujrzała nadchodzącą Illeprę, trzymającą w ramionach płaczące zawiniątko.

Serce Gwendolyn odetchnęło z ulgą, a jej twarz pokryła się łzami. Zaczęła spazmatycznie płakać, szlochała na widok

małego. Poczuła taką ulgę, łązy radości napływały jej do oczu. Dziecko żyło. Ona również. Jakoś udało im się przetrwać ten straszny koszmar.

Nigdy w swoim życiu nie była bardziej wdzięczna losowi.

Illepra pochyliła się i położyła dziecko na klatce piersiowej Gwen.

Gwendolyn usiadła, popatrzyła w dół, przyglądając się dziecięciu. Kiedy go dotknęła, kiedy poczuła jego ciężar, jego zapach, kiedy zobaczyła jak wygląda, poczuła się jak nowo narodzona. Kołysała go, mocno trzymając go w ramionach. Cały czas był opatulony w tkaninę. Gwen poczuła przypływ miłości do tego malca, miłości połączonej z wdzięcznością. Ledwie potrafiła w to uwierzyć – miała dziecko.

Kiedy synek znalazł się w jej ramionach, przestał nagle płakać. Stał się bardzo spokojny, odwrócił się, otworzył oczy i spojrzał wprost na nią.

Gwen doznała wstrząsu, który przeszedł przez jej ciało kiedy ich oczy się spotkały. Dziecko miało oczy Thora – szare i błyszczące – wdawały się pochodzić z innego wymiaru. Wgapiały się w nią. Ona zaś odwzajemniała to spojrzenie. Gwendolyn czuła jakby znała go już wcześniej. Jakby znała go od zawsze.

W tym momencie Gwen wiedziała, że łączy ich silna więź. Więź silniejsza niż wszystkie, które nawiązała dotychczas w życiu. Chwyciła go mocno i przysięgła, że nigdy go nie opuści. Pójdzie za nim w ogień.

– Jest do ciebie podobny, moja pani – powiedział Thor, uśmiechając się i spoglądając na nią.

Gwen również się uśmiechnęła, płacząc, pełna silnych emocji. Nigdy w swoim życiu nie była tak szczęśliwa. Była to jedyna rzecz, której zawsze pragnęła, być z Thorgrinem i ich dzieckiem.

– Ma twoje oczy – odpowiedziała Gwen.

– Nie ma jeszcze imienia – zauważył Thor.

– Może powinniśmy nazwać go na twoją cześć – Gwendolyn zwróciła się do Thora.

Thor stanowczo pokręcił głową.

– Nie, on jest synem swojej matki. Nosi twoje cechy. Prawdziwy wojownik powinien nosić w sobie ducha swojej matki i umiejętności swojego ojca. Obie te rzeczy muszą mu służyć. Odziedziczy po mnie umiejętności, imię natomiast powinien mieć po tobie.

– Co więc proponujesz? – zapytała.

Thor pomyślał.

– Jego imię powinno brzmieć podobnie do twojego. Syn Gwendolyn powinien mieć na imię... Guwayne.

Gwen uśmiechnęła się. Od razu spodobał jej się dźwięk tego imienia.

– Guwayne – powiedziała. – Podoba mi się.

Gwen uśmiechnęła się szeroko i mocno przytuliła swoje dziecko.

– Guwayne – powtórzyła patrząc na małego.

Guwayne odwrócił się i ponownie otworzył oczy. Patrzył

wprost na nią, mogłaby przysiąc, że widziała jak się uśmiecha. Wiedziała, że był na to za mały, ale widziała przeblysłk czegoś, co, jak czuła, miało pokazać, że spodobało mu się to imię.

Selese pochyliła się by posmarować maścią usta Gwen, a następnie dać jej coś do picia, gęsty, ciemny płyn. Gwen natychmiastowo ożywiła się. Czuła, że powoli dochodzi do siebie.

– Jak długo tu jestem? – zapytała.

– Spałeś prawie przez dwa dni, moja pani – odrzekła Illepra.

– Od czasu wielkiego zaćmienia.

Gwen zamknęła oczy i sobie przypomniwała. Wszystko natychmiast do niej wróciło. Pamiętała zaćmienie, grad, trzęsienie ziemi... Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziała.

– Narodzinom naszego dziecka towarzyszyły wielkie znaki – rzekł Thor. – Były widoczne w całym królestwie. Wieść o jego przyjściu na świat dotarła już nawet w najdalsze strony kraju.

Kiedy Gwen mocno tuliła chłopca, poczuła wszechogarniające ciepło, wiedziała, że nie jest to zwyczajny chłopiec. Zastanawiała się jakie siły drzemią w jego żyłach.

Spojrzała na Thora zastanawiając się, czy chłopiec również jest druidem.

– Byłeś tu przez cały czas? – zapytała Thora, kiedy zrozumiała, że cały ten czas trwał przy jej boku. Poczuła do niego ogromną wdzięczność.

– Tak, moja pani. Przyszedłem, jak tylko usłyszałem. Jedynie ostatnią noc spędziłem przy Jeziorze Smutków, modląc się o twój

powrót do zdrowia.

Gwen znów zalała się łzami. Nie była w stanie kontrolować swoich emocji. Nigdy nie była tak szczęśliwa; trzymając to dziecko, czuła się kompletna. Było to uczucie, którego w życiu się nie spodziewała.

Niestety Gwen przypomniła sobie tę pamiętną chwilę w Nibyświecie, kiedy to została zmuszona do dokonania wyboru. Ścisnęła Thora za rękę i jednocześnie mocno przytuliła syna. Obaj są blisko niej, chciała, aby zostali z nią na zawsze.

Ale wiedziała, że jeden z nich będzie musiał umrzeć. Płakała.

– Co się stało kochana? – zapytał w końcu Thor.

Gwen potrząsnęła głową, nie mogąc mu o niczym powiedzieć.

– Nie martw się – powiedział. – Twoja matka wciąż żyje. Jeśli to jest powód, dla którego płaczesz.

Nagle jej się przypomniało.

– Jest ciężko chora – dodał Thor. – Jednak wciąż masz czas, aby ją zobaczyć.

Gwen wiedziała, że musi to uczynić.

– Muszę się z nią spotkać – powiedziała. – Natychmiast mnie do niej zabierz.

– Pani, czy jesteś pewna? – zapytała Selese.

– W twoim stanie nie powinnaś się ruszać, pani – dodała Illepra. – Twój poród był bardzo nietypowy, powinnaś odpoczywać. Masz szczęście, że żyjesz.

Gwen zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Chcę zobaczyć swoją matkę zanim umrze. Zabierz mnie do

niej. Natychmiast.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Godfrey siedział w karczmie pośrodku długiego drewnianego stołu, w każdej dłoni trzymając kufel wyśmienitego ale. Śpiewał wraz z potężną grupą MacGilów i McCloudów co rusz stukając się z nimi kuflami. Wszyscy kołysali się w przód i w tył, uderzając się w szklanice, aby podkreślić każdą zwrotkę. Piwo wylewało się na ręce i stoły. Godfreyowi było to jednak obojętne. Był bardzo pijany, podobnie jak każdej innej nocy ostatnimi czasy, i czuł się z tym bardzo dobrze.

Po jego bokach siedzieli Akorth i Fulton. Goodfrey rozglądał się wokół i czuł ogromną satysfakcję widząc, że przy stołach zasiadają dziesiątki MacGilów i McCloudów – wcześniejsi wrogowie zebrali się razem podczas zabawy, którą udało mu się zorganizować. Zajęło mu to kilka dni przeczesywania Pogórza, aby dotrzeć do tego miejsca. Na początku ludzie podchodzili do tego z dystansem, jednak gdy Godfrey wytoczył kilka beczek ale, gdy pojawiły się kobiety, mężczyźni zaczęli przychodzić.

Zaczął się od kilku mężczyzn, ostrożnie spoglądających w swoim kierunku, zasiadających po przeciwnych stronach sali. Jednak gdy Godfrey postanowił o spakowaniu karczmy i przeniesieniu jej na ten szczyt Pogórza, mężczyźni rozluźnili się i zaczęli ze sobą rozmawiać. Godfrey wiedział, że nic innego nie łączy mężczyzn tak, jak strumień darmowego ale.

Tym co sprawiło, że puścili im hamulce, że zaczęli

zachowywać się jak bracia, był moment, w którym Godfrey wprowadził kobiety. Chłopak musiał użyć swoich znajomości po obu stronach Pogórza, aby opustoszyć wszystkie burdele w okolicy i oczywiście szczerze wynagrodzić wszystkie obecne panie. Teraz sala była nimi wypełniona, siedziały głównie na kolanach żołnierzy, którym bardzo się to podobało. Dobrze opłacone kobiety były zadowolone, mężczyźni byli zadowoleni, więc cała sala wypełniła się radością i toastami. Mężczyźni zaś przestali skupiać się na sobie, zamiast tego zajmując się piciem i kobietami.

Noc stawała się coraz ciemniejsza, a Godfrey co chwila podsłuchiwał rozmowy, z których mógł wnioskować, że MacGilowie i McCloudowie zaczynają traktować się przyjacielsko. Zaczęli nawet umawiać się na wspólny patrol. Właśnie taki rodzaj więzi między nimi poleciła mu osiągnąć jego siostra. Godfrey był dumny, że udało mu się tego dokonać. Podobał mu się również sam sposób dojścia do celu – jego policzki były coraz bardziej czerwone od spożytego alkoholu. Zauważył, że w ale McCloudów było coś innego, piwo po tej stronie Pogórza było mocniejsze i od razu uderzało do głowy.

Godfrey wiedział, że istnieje wiele sposobów na wzmocnienie armii, na zjednoczenie ludzi i na dowodzenie. Polityka była jednym z nich, powołanie jednostki zarządzającej – innym, egzekwowanie prawa kolejnym. Jednak żadna z tych metod nie trafiała do serc tych ludzi. Godfrey, przy wszystkich swoich wadach, doskonale widział jak dotrzeć do zwykłego człowieka.

Bo *sam* był zwykłym człowiekiem. Należał wprawdzie do królewskiego rodu, jednak jego serce zawsze solidaryzowało się z masami. Posiadał pewną mądrość osób urodzonych na ulicy, mądrość, której wszyscy ci rycerze w lśniących zbrojach nigdy nie posiadają. Oni byli ponad tym wszystkim. I Godfrey podziwiał ich za to. Jednak rozumiał, że to właśnie on, Godfrey, ma nad nimi przewagę dzięki temu, że kiedyś był częścią takiego świata. Dało mu to inną perspektywę, inny sposób patrzenia na ludzi – a czasami konieczne są obie perspektywy, aby w pełni zrozumieć potrzeby ludu. Koniec końców, największe pomyłki jakich dopuszczali się Królowie, zawsze wynikały z tego, że nie pozostawali oni w kontakcie z ludem.

– McCloudowie jednak umieją pić – powiedział Akorth.

– Oj, nie zawodzą – dodał Fulton, kiedy dwa kolejne kufle ślizgiem pojawiły się przed nimi.

– To piwo jest za mocne – rzekł Akorth, bekając przy tym doniośle.

– Jakoś nie tęsknię za naszym lokalnym – odpowiedział Fulton.

Godfrey dostał kuksańca w żebra, rozejrzał się wokół i zobaczył, że niektórzy spośród McCloudów kołyszają się za mocno, śmieją za głośno i są naprawdę pijani, podobnie jak rozpieszczane przez nich kobiety. Godfrey rozumiał, że McCloudowie są zdecydowanie bardziej nieokrzesani niż MacGilowie. MacGilowie byli szorstcy, ale McCloudowie... było w nich coś takiego... coś dzikiego. Kiedy swoim

okiem eksperta przeanalizował sytuację w sali, zobaczył, że McCloudowie ściskają swoje kobiety nieco za mocno, uderzają się kufłami ze zbyt dużą siłą, że szturchają się łokciami w sposób zbyt gwałtowny. Było w tych ludziach coś, co sprawiało, że Godfrey czuł się przy nich nerwowo i to pomimo tych wszystkich dni, które spędził w ich towarzystwie. Z jakiegoś powodu, nie potrafił całkowicie zaufać tym ludziom. A im więcej czasu z nimi spędzał, tym lepiej rozumiał dlaczego oba te rody trzymają się od siebie z daleka. Zastanawiał się czy kiedykolwiek mógłby zostać jednym z nich.

Pijaństwo osiągnęło swój szczyt. Wokół krążyło dwa razy więcej kufli niż dotychczas. Jednak McCloudowie nie zwalniali tempa, jak w takim momencie zwykli czynić żołnierze. Co więcej, zaczęli pić jeszcze więcej, dużo za dużo. Godfrey, wbrew swojej naturze, stał się nieco zdenerwowany.

– Czy sądzisz, że mężczyzna może wypić za dużo? – zapytał Akortha.

Akorth zaśmiał się z drwiną w głosie.

– Cóż za pruderyjne pytanie! – odparł bez chwili zastanowienia.

– Co ci się stało? – zapytał Fulton.

Jednak Godfrey bacznie obserwował jak jeden z McCloudów, tak pijany, że ledwie widział na oczy, wpadł na grupkę swoich kolegów, przewracając ich wszystkich z hukiem.

Przez chwilę w sali zapadła cisza, wszyscy odwrócili się, by zobaczyć grupkę leżących na podłodze żołnierzy.

Ci jednak szybko się podnieśli krzycząc radośnie, śmiejąc się i wiwatując. Godfreyowi ulżyło, że zabawa trwała dalej.

– Nie sądzisz, że mają już dość? – zapytał Godfrey, zaczynając się zastanawiać czy to wszystko nie było przypadkiem złym pomysłem.

Akorth spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Dość? – zapytał. – A co to w ogóle znaczy?

Godfrey zauważył, że sam bełkotał, a jego umysł nie był tak bystry jakby sobie tego życzył. Pomimo wszystko, ciągle wydawało mu się, że zaczyna się tu dziać coś złego. Że coś jest nie tak. Zachowania były zbyt intensywne, a biesiadnicy zaczęli tracić nad sobą kontrolę.

– Precz z łapami – nagle ktoś wrzasnął. – Ona jest moja!

Ton tego głosu był złowrogi i niebezpieczny. Kiedy dźwięk dotarł do Godfreya, ten się odwrócił.

Po drugiej stronie sali żołnierz MacGilów stał wyprostowany, kłócąc się z jednym z McCloudów. McCloud pochwycił kobietę, która siedziała na kolanach MacGila, objął ją ramieniem wokół talii i pociągnął do siebie.

– *Była* twoja. Teraz jest moja! Znajdź sobie jakąś inną!

Oblicze MacGila zachmurzyło się. Żołnierz dobył miecza. Charakterystyczny dźwięk rozniósł się po sali, sprawiając, że wszystkie głowy obróciły się w jego stronę.

– Powiedziałem, że jest *moja*! – krzyknął MacGil.

Jego twarz była teraz całkiem czerwona, a włosy zmierzwiłone i polepione od potu. Cała sala patrzyła na nich przykuta

śmiertelnym tonem wypowiedzi.

Zabawa ustała gwałtownie, w karczmie nastała cisza, a biesiadnicy bo obu stronach sali zamarli, by obserwować rozwój zdarzeń. McCloud, potężny, muskularny mężczyzna, skrzywił się, chwycił kobietę i gwałtownie cisnął nią w bok. Poleciała w tłum, potknęła się i upadła.

McClouda z całą pewnością nie obchodziło co się z nią stało. Dość oczywistym było, że jedyne na co miał teraz ochotę to bójka, nie kobieta.

Również dobył miecza, gotowy do walki.

– Zapłacisz za nią życiem! – powiedział.

Żołnierze z wszystkich stron odsunęli się w tył, tworząc niewielkie pole do walki. Godfrey obserwował narastające napięcie. Wiedział, że musi przerwać tę sytuację, zanim zamieni się ona w otwartą wojnę. Przeskoczył przez stół, ślizgając się po kuflach z piwem, przemknął korytarzem i wbiegł w sam środek pola oczyszczonego do walki. Prosto pomiędzy tę dwójkę. Wyciągnął dłonie, aby ich rozdzielić.

– Panowie! – zawołał bełkocząc nieco. Starał się być skupiony, zmusić swój umysł do trzeźwego myślenia. Żałował jednocześnie, że dał się upić tak bardzo.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi! – krzyknął. – Stanowimy wspólnotę! Jedną armię! Walka jest tu niepotrzebna! Wokół jest wiele kobiet! Żaden z was zapewne nie chciał doprowadzić do tej sytuacji!

Godfrey spojrzał na MacGila, który stał tam krzywiąc się i

trzymając swój miecz.

– Jeśli przyzna, że to jego wina, przyjmę jego przeprosiny – powiedział MacGil.

McCloud był nieco skołowany, po chwili jego wyraz twarzy stał się łagodniejszy, aż ostatecznie uśmiechnął się.

– W takim razie przepraszam! – McCloud wykrzyczał, wyciągając swoją lewą rękę.

Godfrey odsunął się. MacGil ostrożnie uściśnął wyciągniętą dłoń.

Kiedy mężczyźni wymieniali uścisk, McCloud zmiażdżył rękę MacGila, szarpnął go w swoim kierunku, a następnie uniósł miecz i wbił go prosto w jego klatkę piersiową.

– Przepraszam, – dodał – że nie zabiłem cię wcześniej! Szmato MacGilów!

MacGil padł na ziemię, bezwładnie, krew rozlała się wokół niego.

Był martwy.

Godfrey był zszokowany. Znajdował się raptem stopę od nich, nie mógł wprawdzie pomóc, ale w pewien sposób czuł, że to jego wina. Zachęcił MacGila, aby ten opuścił swoją broń, to on starał się doprowadzić do rozejmu. Został zdradzony przez tego McClouda, zrobiono z niego głupca na oczach jego własnych ludzi.

Godfrey nie myślał jasno, był pijany jak bela, jednak coś w nim pękło.

Jednym szybkim ruchem, schylił się, pochwycił miecz

martwego MacGila, podszedł do McClouda i dźgnął go prosto w serce.

McCloud spojrzął w bok, otworzył szeroko oczy, następnie zsunął się na ziemię, martwy, z mieczem, który wciąż tkwił w jego klatce.

Godfrey spojrzął w dół na swoje skrwawione dłonie i nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie zrobił. Był to pierwszy raz kiedy zabił człowieka własnymi rękami. Nigdy nie sądził, że jest do tego zdolny.

Nie planował go zabić, nawet tego porządnie nie przemyślał. Coś tkwiło głęboko w nim. Zawładnęła nim jakaś część niego samego, część, która zapagnęła zemsty za krzywdy.

Sala nagle pograżyła się w chaosie. Ze wszystkich stron dało się słyszeć krzyki, mężczyźni atakowali się we wściekłości. Przestrzeń wypełniły odgłosy uderzających o siebie mieczy. W pewnym momencie Akorth popchnął Godfreya mocno do przodu, sprawiając, że jego głowa uniknęła spotkania ze zbliżającym się mieczem.

Inny żołnierz – Godfrey nie pamiętał kto to był i dlaczego to zrobił – chwycił go i rzucił nim wzdłuż stołu wypełnionego po brzegi piwem. Ostatnią rzeczą jaką zapamiętał Godfrey było to, jak leci wzdłuż drewnianej ławy, uderzając po kolei w każdy kufel ale, aż wreszcie spada na ziemię, waląc o nią głową i jedyne czego pragnie, to być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gwendolyn siedziała na wózku inwalidzkim, trzymając Guwayne'a w ramionach. Oczekiwała, aż sługa otworzy drzwi, a Thor wwiezie ją do komnaty swojej chorej matki. Strażnicy Królowej pochylili głowy i odsunęli się na bok. Gwen przytuliła dziecko mocniej, kiedy wchodzili do ciemnego pokoju. Było tu cicho i duszno. Pochodnie migotały na każdej ze ścian. Wydawało się, że w powietrzu czai się śmierć.

Guwayne, pomyślała. Guwayne. Guwayne.

Powtarzała imię w myślach, wciąż i na nowo, starając skupić się na czymś innym niż jej umierająca matka. Kiedy o nim myślała, czuła się dużo lepiej, to imię sprawiało, że ogarniało ją ciepło. *Guwayne*. Cudowne dziecko. Kochała go bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić.

Gwen chciała, aby jej matka ujrzała go, zanim umrze. Chciała, aby matka była z niej dumna. Gwen pragnęła jej błogosławieństwa. Musiała to przyznać. Pomimo ich wyboistej przeszłości, Gwen potrzebowała pokoju i porozumienia w ich relacji. Zanim matka umrze. Była teraz w delikatnym stanie, a świadomość, że przez ostatnie miesiące zbliżyły się do siebie, sprawiała, że Gwen czuła się jeszcze bardziej zrozpaczona.

Jej serce ścisnęło się, kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły. Rozejrzała się po pokoju i ujrzała dziesiątki sług stojących w pobliżu matki. Ludzi ze starej gwardii, których potrafiła

rozpoznać, którzy opiekowali się także jej ojcem. Komnata była nimi wypełniona. Czuwali przy umierającej. Przy boku matki stała oczywiście Hafold, jej wierna służka do samego końca. Trzymała przy niej straż, nie pozwalając nikomu zbliżyć się zbyt blisko, podobnie jak zwykła to czynić przez całe swoje życie.

Kiedy Thor podjechał z Gwendolyn blisko matki, córka chciała wstać, pochylić się nad starą Królową i ją uściskać. Jej ciało wciąż jednak było całe obolałe – będąc w tym stanie, nie potrafiła tego uczynić.

Zamiast tego wyciągnęła swoją dłoń i ujęła matkę za nadgarstek, był zimny w dotyku.

Kiedy to uczyniła, jej rodzicielka, leżąc dotychczas nieprzytomna, powoli otworzyła jedno oko. Wyglądała na zaskoczoną i uradowaną na widok Gwen. Niespiesznie otworzyła drugie oko, a następnie usta. Chciała przemówić.

Próbowała wypowiedzieć słowa, jednak miast tego dało się słyszeć jedynie sapanie. Gwen nie mogła jej zrozumieć.

Matka odchrząknęła i skinęła na Hafold.

Ta natychmiast się pochyliła, przyłożyła ucho blisko ust Królowej.

– Tak moja pani? – zapytała Hafold.

– Odeślij wszystkich. Chcę zostać sama z moją córką i Thorgrinem.

Hafold spojrzała przelotnie na Gwen, wydawał się być jej niechętna, następnie odpowiedziała – Jak sobie życzysz, pani.

Hafold natychmiast zebrała wszystkich, a następnie

wyprowadziła ich przez drzwi; po czym wróciła i zajęła swą pozycję u boku Królowej.

– Sama – Królowa powtórzyła i spojrzała wymownie na Hafold.

Hafold popatrzyła w dół zaskoczona, następnie z zazdrością rzuciła okiem na Gwen i gwałtownie wyszła z komnaty, stanowczo zamykając za sobą drzwi.

Gwen siedziała z Thorem, czuła ulgę, że wszyscy sobie poszli. Ciężki całun śmierci wciąż wisiał w powietrzu. Gwendolyn czuła go cały czas – już niedługo matki z nią nie będzie.

Królowa ścisnęła dłoń Gwen, a ta odwzajemniła ten uścisk. Matka uśmiechnęła się, a łza spłynęła jej po policzku.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała. Czy raczej wyszeptwała. Jej słowa były ledwie słyszalne.

Gwen czuła, że chce jej się płakać, jak mogła, starała się być silna, starała się oszczędzić matce łez. Jednak nie potrafiła się opanować. Łzy nagle same zaczęły płynąć.

– Matko – powiedziała. – Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Za wszystko.

Gwen czuła ogromny żal, że w życiu nie były ze sobą bliżej. Nigdy nie potrafiły się zrozumieć. Ich osobowości zawsze się ze sobą ścierały, nigdy nie postrzegały rzeczy w ten sam sposób. Gwen było przykro, że ich relacja wyglądała w ten sposób, nawet jeśli nie była osobą, którą należało za to winić. Pragnęła, spoglądając w przeszłość, aby istniało coś, co mogła powiedzieć bądź zrobić, aby sprawy potoczyły się inaczej. Jednak te kobiety

zawsze były po dwóch różnych stronach barykady, niezależnie od sytuacji, o którą chodziło. I wydawało się, że żaden wysiłek, z którejkolwiek ze stron, nie był w stanie tego zmienić. Były po prostu dwiema całkowicie różniącymi się od siebie istotami, które utknęły w tej samej rodzinie, które utknęły w relacji matka-córka. Gwen nigdy nie była córką, której pragnęła jej matka, a Królowa nigdy nie była matką, jakiej życzyłaby sobie Gwen. Gwen zastanawiała się dlaczego świat połączył je ze sobą.

Królowa skinęła głową, a Gwendolyn wiedziała, że matka ją rozumie.

– To ja przepraszam – odpowiedziała. – Jesteś wyjątkową córką. I wyjątkową Królową. Dużo wspanialszą Królową niż ja kiedykolwiek byłam. I dużo wspanialszym władcą, niż kiedykolwiek był twój ojciec. Byłby z ciebie dumny. Zaslugujesz na lepszą matkę niż ta, którą jestem ja.

Gwen otarła łzy.

– Byłaś doskonałą matką.

Matka potrząsnęła głową.

– Byłam dobrą Królową. I oddaną żoną. Ale nie byłam dobrą matką. A przynajmniej nie dla ciebie. Myślę, że widziałam w tobie zbyt dużo siebie. To mnie przerażało.

Gwen ścisnęła jej rękę. Płakała. Pragnęła, aby dano im więcej czasu dla siebie, aby ta rozmowa odbyła się o wiele wcześniej. Teraz, kiedy była Królową, kiedy obie były starsze, i kiedy miała dziecko, Gwen pragnęła, aby matka była przy niej. Chciała móc korzystać z jej rad. Ironicznie, moment, w którym najbardziej

pragnęła jej przy sobie, był czasem, w którym nie mogła jej mieć.

– Mamo, chciałabym, abyś poznała moje dziecko. Mojego syna. Oto Guwayne.

Królowa, zaskoczona, otworzyła szeroko oczy, uniosła głowę nad poduszkami, spojrzała w dół i dopiero teraz dostrzegła, że Gwen trzyma na rękach Guwayne’a.

Królowa westchnęła, podniosła się nieco bardziej, a następne wybuchła płaczem.

– Och Gwendolyn – powiedziała. – To najpiękniejsze dziecko jakie kiedykolwiek widziałam.

Wyciągnęła rękę i dotknęła Guwayne’a, położyła dłonie na jego czole, a kiedy to uczyniła, załkała jeszcze mocniej.

Następnie odwróciła się i spojrzała na Thora.

– Będiesz dobrym ojcem – powiedziała. – Mój mąż cię uwielbiał. Zaczynam rozumieć dlaczego. Myliłam się co do ciebie. Wybacz mi. Cieszę się, że jesteś z Gwendolyn.

Thor uroczyście skinął głową, wyciągnął rękę i chwycił Królową za ramię. Ona również wyciągnęła do niego dłoń.

– Nie mam czego wybaczać – powiedział.

Królowa spojrzała na Gwendolyn, a jej oczy znów stały się twarde. Gwen zobaczyła w nich nagłą zmianę, zobaczyła, że wraca stara Królowa.

– Staniesz teraz w obliczu wielu prób – powiedziała matka. – Cały czas starałam się je kontrolować. Wciąż mam wszędzie swoich ludzi. Obawiam się o ciebie.

Gwendolyn poklepała ją po dłoni.

– Matko, nie martw się tym teraz. To nie czas na sprawy państwa.

Matka pokręciła głową.

– *Zawsze* jest czas na sprawy państwa. A teraz przede wszystkim. Pogrzeby, nie zapominaj, są sprawami państwa. Nie są wydarzeniami rodzinnymi, a politycznymi.

Królowa kaszlała przez długi czas, a następnie odetchnęła głęboko.

– Nie pozostało mi wiele czasu, więc słuchaj uważnie – powiedziała, a jej głos stawał się coraz słabszy. – Weź sobie moje słowa do serca. Nawet jeśli nie masz ochoty ich usłyszeć.

Gwen nachyliła się bliżej i uroczyście skinęła głową.

– Cokolwiek powiesz matko.

– Nie ufaj Tirusowi. Zdradzi cię. Nie ufaj jego ludziom. Ci MacGilowie nie są jednymi z nas. Łączy ich z nami jedynie nazwisko. Nie zapominaj o tym.

Matka zaczęła sapać, próbując złapać oddech.

– McCloudom również nie ufaj. Nie wyobrażaj sobie, że będziesz żyć z nimi w pokoju.

Matka sapała, a Gwen zastanawiała się nad jej słowami, starając się pojąć ich głębsze znaczenie.

– Dbaj, aby twoja armia była silna, a obrona jeszcze silniejsza. Im mocniej zdasz sobie sprawę z tego, że pokój to iluzja, tym dłużej uda ci się go zachować.

Matka znów dyszała. Przez długi czas. Zamknęła oczy. Serce

Gwen krwawiło, gdy patrzyła jak wiele wysiłku kosztują ją te słowa.

Z jednej strony, pomyślała Gwen, być może były to tylko słowa umierającej Królowej, która zbyt długo czuła się znużona; z drugiej jednak strony, Gwen nie mogła oprzeć się wrażeniu, jest w tym wszystkim jakaś mądrość. Mądrość, której być może nie chciała przyjąć.

Jej matka znów otworzyła oczy.

– Twoja siostra, Luanda – wyszeptała. – Chcę, aby była na moim pogrzebie. Jest moją córką. Moją pierworodną.

Gwendolyn westchnęła, zaskoczona.

– Uczyniła straszne rzeczy, zasłużyła na wygnanie. Ale okaż jej łaskę, tylko raz. Kiedy będą wsadzać mnie do ziemi, chcę, aby była tutaj. Nie odrzucaj prośby umierającej matki.

Gwendolyn znów westchnęła, czuła się rozdarta. Chciała sprawić matce przyjemność. Jednak nie chciała pozwolić Luandzie wrócić. Nie po tym co zrobiła.

– Obiecay mi – powiedziała matka, ściskając stanowczo dłoń Gwen. – *Obiecay mi.*

Ostatecznie Gwendolyn skinęła – nie była w stanie jej odmówić.

– Obiecuję ci, Matko.

Matka westchnęła i skinęła głową. Była usatysfakcjonowana, osunęła się z powrotem na poduszkę.

– Matko, – powiedziała Gwen i odchrząknęła – chciałabym, abyś pobłogosławiła moje dziecko.

Matka delikatnie otworzyła oczy i spojrzała na nią, następnie zamknęła je powoli i potrząsnęła głową.

– To dziecko ma wszelkie błogosławieństwa jakich noworodek może tylko potrzebować. Ma również moje, jednak go nie potrzebuje. Zobaczysz córko, że twoje dziecko będzie dużo potężniejsze niż ty, Thorgrin czy ktokolwiek inny, kto narodził się wcześniej, bądź narodzi się później. Wszystko to zostało przepowiedziane lata temu.

Matka dyszała przez długi czas, a kiedy Gwen wydawało się, że skończyła, kiedy Gwen przygotowywała się już do wyjścia, matka otworzyła oczy po raz ostatni.

– Nie zapominaj czego nauczył cię ojciec – powiedziała, jej głos był tak słaby, że ledwie mogła mówić. – Czasem w królestwie największy pokój panuje podczas wojny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Steffen galopował w dół zakurzoną drogą, kierując się na wschód od Królewskiego Dworu. Jego podróż trwała już kilka dni. Podążały za nim dziesiątki członków Królewskiej Straży. Czuł się zaszczycony, że to właśnie jemu Królowa powierzyła tę misję i był w pełni zdeterminowany, aby należycie ją wypełnić. Steffen jeździł od miasta do miasta z karawaną królewskich powozów. Każdy z nich wypełniony był złotem, srebrem, królewskimi monetami, kukurydzą, pszenicą, różnymi zapasami i materiałami budowlanymi wszelkiego rodzaju. Królowa postanowiła przynieść pomoc do wszystkich małych wiosek Kręgu, aby również one mogły się odbudować. To właśnie w Steffenie dostrzegła odpowiednią osobę, której należy powierzyć tę misję.

Steffen odwiedził już wiele wiosek, w imieniu Królowej rozdzielił wiele wagonów pełnych towarów. Robił to bardzo dokładnie, starając się jak najlepiej rozdysponować je pomiędzy wioski i rodziny, które najbardziej ich potrzebowały. Był dumny widząc radość na twarzach ludzi, kiedy rozdawał im towary i przydzielał pracowników, którzy mieli pomóc w odbudowie wiosek znajdujących się w okolicy Królewskiego Dworu. Wioska po wiosce, wszystko w imieniu Gwendolyn. Steffen pomagał odbudować wiarę w potęgę Królowej, w możliwość odbudowy Kręgu. Po raz pierwszy w życiu ludzie nie zwracali uwagi na

jego wygląd, patrzyli na niego z szacunkiem, jak na normalnego człowieka. Pokochał to uczucie. Ludzie również mieli poczucie, że Królowa o nich nie zapomniała, Steffen zaś był szczęśliwy mogąc brać udział w przedsięwzięciu, które sprawiało, że lud jeszcze bardziej kochał Królową i czuł się jej oddany. Niczego więcej nie pragnął.

Los chciał, że, po odwiedzeniu wielu wsi, trasa wyznaczona przez Królową zawiodła Steffena do jego własnej wioski, do miejsca w którym się wychował. Steffen poczuł strach, pewne ukłucie w żołądku, kiedy zobaczył, że jego osada jest następna na liście. Chciał zawrócić, zrobić cokolwiek, aby tylko tego uniknąć.

Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Przysiągł Gwendolyn, że wypełni jej rozkazy, na szali leżał więc jego honor – musiał spełnić swój obowiązek, nawet jeśli wiązało się to z powrotem do miejsca, które widywał w największych koszmarach. Było to miejsce, w którym mieszkali wszyscy ludzie, których znał jako dziecko, ludzie, którzy czerpali ogromną przyjemność z dręczenia go i szydzenia ze sposobu w jaki został ukształtowany. Ludzie, którzy sprawili, że przez całe życie odczuwał wstyd z powodu tego, kim jest. Kiedy stamtąd odszedł, przysiągł sobie, że już nigdy tu nie wróci, że nigdy nie ujrzy już swojej rodziny. Teraz, o ironio, przywiodła go tu jego misja, podczas której w imieniu Królowej miał rozdać im wszelkie towary, których mogą potrzebować. Los bywa jednak okrutny.

Steffen wjechał na grzbiet góry i pierwszy raz od dawna ujrzał swoją osadę. W żołądku wszystko mu się przewracało. Wystarczyło, aby tylko zobaczył to miejsce, a od razu poczuł, że jest mniej wart. Zaczynał kurczyć się w sobie, czołgać w środku własnego ciała, było to uczucie, którego szczerze nienawidził. A przecież jeszcze przed chwilą czuł się tak wspaniale, lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Szczególnie teraz, mając tę pozycję, będąc w tym otoczeniu. Teraz, kiedy odpowiadał przed samą Królową. Jednak kiedy zobaczył to miejsce, wróciły wspomnienia, dotyczące tego w jaki sposób ludzie traktowali go wcześniej. Nienawidził tego uczucia.

Czy ci wszyscy ludzie wciąż tu mieszkali? Zastanawiał się. Czy wciąż byli tak okrutni, jak zazwyczaj. Miał jedynie nadzieję, że nie.

Jeśli Steffen natrafi tu na swoją rodzinę, co im powie? Co oni mu powiedzą? Czy będą z niego dumni, kiedy zobaczą jaki urząd piastuje? Osiągnął w swoim życiu więcej niż ktokolwiek z jego rodziny, niż ktokolwiek z wioski. Był jednym z najważniejszych doradców Królowej, był członkiem małej królewskiej rady. Będą zdumieni słysząc co udało mu się osiągnąć. Ostatecznie będą musieli przyznać, że mylili się co do niego. Że wcale nie był nic nie warty.

Steffen miał nadzieję, że może właśnie w ten sposób potoczą się sprawy. Może wreszcie jego rodzina będzie go podziwiać, może zyska wśród swych ludzi szacunek.

Steffen i jego królewska karawana zatrzymali się przed

bramami tej niewielkiej osady. Steffen nakazał wszystkim zatrzymać się.

Odwrócił się przodem do swoich ludzi, do dziesiątek żołnierzy Straży Królewskiej, którzy czekali na jego rozkazy.

– Poczekacie tutaj na mnie, – krzyknął – poza murami miasta. Nie chcę, aby moi ludzie was zobaczyli. Chcę stawić im czoła w samotności.

– Tak jest, Panie Dowódco – odpowiedzieli.

Steffen zsiadł z konia, chcąc pieszo przebyć resztę drogi do miasta. Nie chciał, aby jego rodzina zobaczyła królewskiego konia, czy królewską świtę. Chciał zobaczyć jak zareagują na jego widok, kiedy zobaczą go takim jaki jest, bez obecnej pozycji czy rangi. Ściągnął nawet królewskie oznaczenia ze swojej nowej odzieży i pozostawił je w siodle.

Steffen wszedł przez główną bramę do małej, brzydkiej wioski, którą pamiętał. Miała zapach dzikich psów, kurcząt biegających wolno po ulicach, starych kobiet i przeganiających je dzieci. Szedł obok rzędów chat, których kilka zrobionych było z kamienia, ale większość – ze słomy. Ulice były w bardzo złym stanie, pełne dziur i zwierzęcych zwłok.

Nic się nie zmieniło. Przez wszystkie te lata, zupełnie nic się nie zmieniło.

Steffen ostatecznie dotarł na koniec ulicy, skręcił w lewo, a kiedy ujrzał dom swego ojca, przewróciły się w nim wszystkie wnętrza. Wyglądał tak, jak zawsze – mały drewniany domek z pochyłym dachem i krzywymi drzwiami. Z tyłu szopa, w której

kazano spać Steffenowi. Widok ten sprawił, że natychmiast chciał ją zburzyć.

Steffen podszedł do frontowych drzwi, które były otwarte. Stał w wejściu i zajrzał do środka.

Zaparło mu dech w piersiach. Była tu cała jego rodzina. ojciec, matka, wszystkie jego siostry i bracia. Wszyscy stłoczeni w tej malutkiej chatce. W tej kwestii również nic się nie zmieniło. Zebrali się przy stole, jak zwykle, walcząc o ochłapy, śmiejąc się do siebie. Nigdy nie śmiali się ze Steffenem. Zawsze tylko z niego.

Wszyscy wyglądali starzej, ale poza tym, tak samo. Obserwował ich ze zdumieniem. Naprawdę pochodził właśnie stąd?

Matka Steffena zauważyła go jako pierwsza. Odwróciła się, a kiedy go ujrzała jęknęła i upuściła talerz, który rozbił się na podłodze.

Następnie odwrócił się ojciec i wszyscy pozostali. Gapili się, będąc w szoku, że znów go widzą. Byli wyraźnie niezadowoleni, jak podczas wizyty nieproszonego gościa.

– Więc... – powoli powiedział ojciec, zagniewany, obchodząc stół i zbliżając się do niego, ocierając serwetką tłuszcz z dłoni. Jego ruchy miały sprawiać wrażenie groźnych. – Koniec końców, powróciłeś.

Steffen pamiętał, że ojciec miał w zwyczaju skręcać tę serwetkę, namaczać ją, a potem go nią batożyć.

– Cóż to się stało? – dodał ojciec, z ponurym uśmiechem na

twarzy. – Nie powiodło się w wielkim mieście?

– Sądził, że jest na nas za dobry. A teraz przybiegł do domu jak pies z podkulonym ogonem! – krzyknął jeden z jego braci.

– Jak pies! – powtórzyła jedna z sióstr.

Steffen kipiał ze złości, oddychał ciężko – zmusił się jednak, aby trzymać język za zębami, aby nie zniżyć się do ich poziomu. Ostatecznie byli to prowincjusze, którzy doznali uszczerbku, na skutek życia w małej wiosce. On natomiast widział świat, doświadczył innego życia i powinien zachować się lepiej.

Jego rodzina – czyli wszyscy, którzy znajdowali się w izbie – śmiała się z niego.

Jedyną osobą, która się nie śmiała i która patrzyła się na niego z szeroko otwartymi oczami, była jego matka. Pomyślał, że może ona jako jedyna się zmieniała. Pomyślał, że może ucieszyła się na jego widok.

Ta jednak pokiwała jedynie głową.

– Och Steffen, – powiedziała – nigdy nie powinieneś wracać. Nie jesteś częścią tej rodziny.

Jej słowa, wypowiedziane tak spokojnie, bez żadnej złośliwości, zaboląły Steffena najbardziej.

– Nigdy nią nie był – powiedział jego ojciec. – Jest zwykłą kreaturą. Co tu robisz chłopcze? Przyjechałeś po więcej odpadków?

Steffen nie odpowiedział. Nie miał daru do przemówień, do dowcipnych, błyskotliwych odpowiedzi, a już na pewno nie w tak obciążających emocjonalnie chwilach jak ta. Był tak

zdenerwowany, że ledwie potrafiłby sklecić słowo. Było tak wiele rzeczy, które chciał im wszystkim powiedzieć. Jednak słowa, które mogłyby to wyrazić, nie pojawiały się w gardle.

Stał tam więc jedynie, kipiący ze złości, w milczeniu.

– Zapomniałeś języka w gębie? – zadrwił jego ojciec. – W takim razie zejdz mi z oczu. Marnujesz mój czas. Mamy dziś wielki dzień i nie pozwolę, abyś go zepsuł.

Ojciec usunął Steffena z drogi i przeszedł obok niego. Wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się w obu kierunkach. Cała rodzina czekała i obserwowała go. Ojciec wszedł z powrotem, chrząknął rozczerowany.

– Nie ma ich jeszcze? – matka zapytała z nadzieją.

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia gdzie mogą być – odpowiedział ojciec.

Następnie odwrócił się do Steffena, wściekły, czerwony ze złości.

– Wyłaż stąd – warknął. – Czekamy na bardzo ważną osobę, a ty blokujesz wejście. Wszystko zepsujesz, tak jak zawsze wszystko potrafiłeś zepsuć. Cóż za wyczucie czasu, żeby pojawiać się właśnie w takim momencie. Dowódca Królowej, we własnej osobie, nadjedzie tu lada chwila, aby rozdać w wiosce jedzenie i zaopatrzenie. To jest nasz moment, chwila, w której będziemy mogli się do niego zwrócić. Spójrz na siebie – ojciec uśmiechnął się szyderczo. – Stoisz w drzwiach i blokujesz wejście. Jedno spojrzenie na ciebie i przejedzie obok naszego domu. Pomyśli, że to chata dziwadeł.

Jego bracia i siostry zaczęli pokładać się ze śmiechu.

– Chata dziwadeł! – powtórzył jeden z chłopaków.

Steffen stał tam, robiąc się cały czerwony. Odwzajemniał spojrzenie swojego ojca, który patrzył się na niego skrzywiony.

Steffen, zbyt zdenerwowany, by mu odpowiedzieć, powoli odwrócił się, pokiwał głową i wyszedł z chaty.

Poszedł na ulicę, a kiedy już się tam znalazł, skinął na swoich ludzi.

Nagle pojawiły się dziesiątki lśniących królewskich powozów, które wjechały do wsi.

– Nadjeżdżają! – krzyknął ojciec Steffena.

Cała jego rodzina wybiegła na zewnątrz, przebiegli obok Steffena i ustawili się w linii, gapiąc się na wozy pilnowane przez królewską straż.

Cała straż odwróciła się i spojrzała w stronę Steffena.

– Panie, – powiedział jeden z nich – czy mamy rozdać towary, czy powinniśmy jechać dalej?

Steffen stał podpierając się rękami na biodrach i wpatrywał się w swoją rodzinę.

Ci zaś, co do jednego, odwrócili się całkowicie zadziwieni tym, co usłyszeli. Odwracali się to w przód to w tył, gapiąc się to na Steffena to na królewskie straż. Byli zaskoczeni, jakby nie potrafili zrozumieć co się właśnie stało.

Steffen wolnym krokiem podszedł do swojego konia, wspiął się na niego i usiadł na czele gwardii w swoim srebrno-złotym siodle, a następnie spojrzał w dół na swoją rodzinę.

– *Mój Panie?* – wykrztusił jego ojciec. – To jakiś żart? *Ty?*
Królewskim dowódcą?

Steffen siedział tylko i patrząc na swojego ojca pokiwał głową.

– Tak Ojcie – odpowiedział. – Jestem królewskim dowódcą.

– To niemożliwe – powiedział ojciec. – To niemożliwe. W jaki sposób taka kreatura mogła zostać wybrana do gwardii Królowej?

Wtem, dwóch gwardzistów zsiadło z konia, dobyło swoich mieczy i ruszyło w stronę ojca Steffena. Trzymali końcówki swojej broni przy jego gardle, naciskając je na tyle mocno, że ten z przerażenia otworzył szeroko oczy.

– Kto obraża człowieka Królowej, obraża samą Królową – jeden z mężczyzn warknął w stronę ojca Steffena.

Ojciec, przerażony, przełknął ślinę.

– Panie, czy powinniśmy aresztować tego człowieka – drugi gwardzista zapytał Steffena.

Steffen spojrzał badawczo na swoją rodzinę, widział szok i niedowierzania na wszystkich tych twarzach.

– Steffen! – jego matka ruszyła do przodu, ścisnęła jego nogi, błagała. – Proszę! Nie wtrącaj ojca do aresztu! I proszę – przekaz nam dary. Potrzebujemy ich!

– Jesteś nam to winny! – rzucił jego ojciec. – Za wszystko, co ci dałem przez całe twoje życie. Jesteś nam to winny.

– Proszę! – błagała matka. – Nie mieliśmy pojęcia. Nie wiedzieliśmy kim się stałeś! Błagam, nie krzywdź ojca!

Padła na kolana i zaczęła płakać.

Steffen tylko pokręcił głową, patrząc na tych kłamliwych, oszukańczych ludzi bez honoru. Na ludzi, którzy przez całe życie byli dla niego okrutni. Teraz, kiedy zobaczyli, że stał się kimś ważnym, oczekiwali czegoś od niego.

Steffen zrozumiał, że nie zasługują nawet na jego odpowiedź. Zrozumiał coś jeszcze: przez całe życie, umieszczał swoją rodzinę na piedestale. Jakby byli wspaniali, perfekcyjni, jakby coś osiągnęli, jakby byli kimś, kim on chciał się stać. Teraz zrozumiał, że jest dokładnie na odwrót. To wszystko, całe jego dzieciństwo, było wielkim złudzeniem. To byli żałośni ludzie. Pomimo swojej postawy, był ponad nimi wszystkimi. Zrozumiał to po raz pierwszy w swoim życiu.

Spojrzał w dół na swojego ojca, na skierowane w jego kierunku miecze i szczerze mówiąc jakaś jego część chciała skrzywdzić ojca. Ale inna część rozumiała, że nie zasługują oni nawet na zemstę. Musieliby być kimś, aby na nią zasłużyć. A byli nikim.

Odwrócił się do swoich ludzi.

– Myślę, że ta wioska poradzi sobie sama – powiedział.

Spiął konia i w wielkich kłębach dymu, wszyscy wyjechali z osady. Steffen przysiągł sobie, że już nigdy tu nie wróci.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Słudzy otworzyli stare, dębowe drzwi. Na zewnątrz szalała okropna pogoda. Reece był cały mokry od deszczu i wiatru Wysp Górnych, czym prędzej chciał się więc schronić w suchym forcie Sroga. Kiedy tylko drzwi zatrzęsły się za jego plecami, ucieszył się, że wreszcie znajduje się w jakimś suchym miejscu. Strzepnął wodę ze swoich włosów i z twarzy, a gdy spojrzał w górę, ujrzał Sroga, który spieszył w jego kierunku, aby uściskać go na powitanie.

Reece odwzajemnił jego uścisk. Zawsze myślał ciepło o tym wspaniałym wojowniku i przywódcy, o tym mężczyźnie, który tak doskonale zarządzał Silesią, który był lojalny wobec jego ojca i może nawet bardziej lojalny wobec jego siostry. Widząc Sroga, z jego sztywną brodą, szerokimi ramionami i przyjaznym uśmiechem, przypomniał sobie swojego ojca, i całą starą gwardię.

Srog odchylił się w tył, a swoją masywną ręką chwycił Reece'a za ramię.

– Teraz, kiedy jesteś starszy, aż za bardzo przypominasz swojego ojca. – Powiedział ciepło.

Reece uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że to dobrze.

– Oczywiście – odpowiedział Srog. – To był wspaniały człowiek. Poszedłbym za nim w ogień.

Srog odwrócił się i poprowadził Reece'a wzdłuż korytarza. Wszyscy jego ludzie podążyli za nimi, towarzysząc im przez całą drogę po forcie.

– Jesteś jedną z osób, które najchętniej witam w tym smutnym miejscu – powiedział Srog. – Jestem wdzięczny twojej siostrze, że cię tu przysłała.

– Wygląda na to, że nie wybrałem najlepszego dnia na odwiedzinę – powiedział Reece kiedy przeszli obok otwartego okna, deszcz lał zaledwie kilka stóp od nich.

Srog uśmiechnął się.

– Tutaj każdy dzień tak wygląda – odpowiedział. – Zresztą aura w każdej chwili może się zmienić. Powiadają, że na Wyspach Górnych w ciągu jednego dnia można doświadczyć wszystkich czterech pór roku – i muszę przyznać, że jest to prawda.

Reece spojrzał na zewnątrz, na mały, pusty zamkowy dziedziniec. Znajdowała się na nim garstka starych, kamiennych budynków, szarych, starodawnych – wyglądały jakby wkomponowały się w deszcz. W ich sąsiedztwie znajdowało się zaledwie kilka osób. Ta wyspa wydawała się smutnym, opuszczonym miejscem.

– Gdzie się wszyscy podziali? – zapytał Reece.

Srog westchnął.

– Ludzie zamieszkujący Wyspy Górne pozostają w domach. Patrzą głównie na siebie. Są rozrzuceni. To miejsce nie jest jak Silesia, czy Królewski Dwór. Tu ludzie żyją na całej wyspie. Nie

skupiają się w miastach. Są dziwnymi samotnikami. Uparci i trudni w obyciu, tak jak pogoda.

Srog prowadził Reece'a w dół korytarza, kiedy minęli róg znaleźli się w Wielkiej Sali.

W komnacie znajdował się tuzin mężczyzn Sroga, żołnierzy odzianych w swoje buty i zbroje. Ponuro siedzieli wokół stołu ustawionego blisko ognia. Przy palenisku spały psy. Ludzie spożywali kawały mięsa, a resztki rzucali zwierzętom. Spojrzeli na Reece'a i chrząknęli.

Srog poprowadził gościa w pobliże ognia. Ten roztarł ręce nad płomieniami, szczęśliwy, że wreszcie doznał nieco ciepła.

– Wiem, że nie masz zbyt wiele czasu przed odpłynięciem twojego statku – powiedział Srog. – Chciałem jednak zapewnić ci choć trochę ciepła i suche ubrania.

Służący podszedł i podał Reece'owi zestaw suchych ubrań oraz pancerz. Wszystko dokładnie w jego rozmiarze. Reece spojrzał zaskoczony na Sroga. Był mu bardzo wdzięczny. Zdjął swoje mokre ubranie i zastąpił je tym, które właśnie dostał.

Srog uśmiechnął się.

– Dobrze traktujemy tu swoich ludzi – powiedział. – Byłem pewny, że w tym miejscu, będziesz tego potrzebował.

– Dziękuję – odpowiedział Reece, zaledwie w jednej chwili poczuł, że jest mu dużo cieplej. – Nigdy nie potrzebowałem ich bardziej.

Obawiał się, że będzie musiał wracać w mokrych ubraniach, było więc to dokładnie to, czego potrzebował.

Srog zaczął rozprawiać o polityce, był to długi monolog, a Reece co chwila kiwał grzecznie głową, udając, że słucha. W rzeczywistości był jednak mocno rozkojarzony. Wciąż owładnięty myślami o Starze – nie potrafił wyrzucić jej ze swojej głowy. Nie mógł przestać myśleć o ich spotkaniu. Za każdym razem kiedy o niej pomyślał, czuł w sercu ogromną ekscytację.

Nie mógł też przestać myśleć, z przerażeniem, o zadaniu jakie miał do wykonania na kontynencie. Konieczność powiedzenia Selese – i wszystkim innym – że ślub zostanie odwołany. Nie chciał jej zranić. Niestety nie widział innego wyjścia.

– Reece? – powtórzył Srog.

Reece zamrugał i spojrzał w jego kierunku.

– Słuchasz mnie? – zapytał Srog.

– Przepraszam – odpowiedział Reece. – O czym to mówiłeś?

– Zapytałem, czy twoja siostra dostała moje depesze.

Reece skinął głową, starając się skupić.

– Tak – odpowiedział. – Jest to powód, dla którego mnie tu przysłała. Poprosiła mnie, abym sprawdził co u ciebie, chciała dowiedzieć się z pierwszej ręki, co się dzieje.

Srog westchnął, wpatrując się w płomienie.

– Jestem tu już od szczęściu miesięcy – powiedział – i mogę śmiało powiedzieć, że Wyspiarze nie są tacy jak my. Są MacGilami jedynie z nazwiska. Brakuje im cech twojego ojca. Nie chodzi tylko o to, że są uparci – po prostu nie można im ufać. Codziennie sabotują statki Królowej, szczerze mówiąc, sabotują wszystko, cokolwiek tutaj robimy. Nie chcą nas tutaj.

Nie chcą mieć nic wspólnego z kontynentem – oczywiście oprócz najechania go. Wydaje mi się, że życie w zgodzie, nie jest po prostu w ich stylu.

Srog westchnął.

– Tracimy tu tylko czas. Twoja siostra powinna odpuścić. Zostawić ich tu na pastwę losu.

Reece skinął głową, słuchał. Pocierał dłonie nad ogniskiem kiedy nagle słońce wyłoniło się zza chmur, a ciemność i ulewa zamieniły się w piękny, słoneczny letni dzień. W oddali zabrzmiał róg.

– Twój statek! – krzyknął Srog. – Musimy iść. Musisz odpłynąć zanim pogoda znów się zmieni. Odprowadzę cię.

Srog wyprowadził Reece'a z fortu bocznymi drzwiami. Reece był zdumiony, kiedy poraziło go jasne słońce. Wydawało się, jakby był piękny, letni dzień.

Reece i Srog szli szybko, obok siebie, za nimi kroczyło kilku ludzi Sroga. Kamienie chrupały pod ich stopami kiedy schodzili krętymi szlakami w dół wzgórza, kierując się w stronę oddalonego nieco wybrzeża. Minęli szare głązy, kamienne wzniesienia i klify obsiane kozami, które wspięły się na zbocza i meły trawę. Gdy zbliżyli się do brzegu, wszędzie wokół były dzwony, ostrzegające statki o podnoszącej się mgle.

– Widzę, z jakimi warunkami musisz się zmagać – odezwał się w końcu Reece. – Widzę, że nie jest łatwo. Udało ci się trzymać to wszystko w kupie dużo dłużej niż komukolwiek wcześniej. To pewne. Dobrze sobie tutaj radzisz. Możesz być pewny, że

przekażę to Królowej.

Srog z wdzięcznością skinął głową.

– Dziękuję, że to mówisz – powiedział,

– Dlaczego tutejsi ludzie są niezadowoleni? – spytał Reece. –
Przecież są wolni. Nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy – po
prawdzie, dostarczyliśmy im zapasy i ochronę.

Srog pokiwał głową.

– Nie spoczna dopóki Tirus nie będzie wolny. Uważają,
że dopóki więziony jest ich przywódca, dotyka ich osobista
potwarz.

– Powinni być szczęśliwi, że siedzi w więzieniu, a nie został
stracony za zdradę.

Srog znów pokiwał głową.

– To prawda, jednak ci ludzie tego nie rozumieją.

– A jeśli byśmy go uwolnili? – spytał Reece. – Czy to
spowodowałoby pokój?

Srog zaprzeczył.

– Wątpię. Myślę, że to tylko ośmieliłoby ich do tego, aby
wyrazić niezadowolenie z jakiegoś innego powodu.

– Więc co należy zrobić? – zapytał Reece.

Srog westchnął.

– Opuścić to miejsce – powiedział. – Tak szybko, jak to tylko
możliwe. Nie podoba mi się to, co tutaj widzę. Czuje, że bunt
wisi w powietrzu.

– Przecież znacznie przewyższamy ich liczbą mężczyzn i
statków.

Sorg pokręcił głową.

– To tylko złudzenie – powiedział. – Są doskonale zorganizowani. Są na swojej ziemi. Znają milion subtelnych sposobów na sabotaż, których nie możemy przewidzieć. Siedzimy tutaj, niczym w siedlisku węży.

– Nie jeśli mówimy o Matusie – powiedział Reece.

– To prawda- odpowiedział Srog. – Ale on jest jedynym wyjątkiem.

Jest jeszcze jeden, pomyślał Reece, Stara. Jednak zatrzymał tę myśl dla siebie. Słuchając tego wszystkiego, coraz bardziej chciał uratować Starę, zabrać ją stąd tak szybko, jak tylko to możliwe. Przysiągł sobie, że to uczyni. Ale najpierw musiał powrócić do domu i uporządkować wszystkie swoje sprawy. Potem będzie mógł po nią wrócić.

Kiedy wkroczyli na piasek, Reece spojrzał w górę i zobaczył stojący przed nim statek. Jego ludzie czekali na niego.

Zatrzymał się, Srog odwrócił się w jego kierunku i ciepło ścisnął go za ramię.

– Podzielę się całą tą wiedzą z Gwendolyn – powiedział Reece. – Poinformuję ją o wszystkich twoich obawach. Wiem jednak, że jest zdecydowana na utrzymanie tych wysp. Postrzega je jako część większego planu dla Kręgu. Póki co musisz więc zachować tutaj spokój. Za wszelką cenę. Czego potrzebujesz? Więcej statków? Więcej ludzi?

Srog zaprzeczył.

– Nie, wszyscy ludzie i wszystkie statki tego świata nie są w

stanie zmienić Wyspiarzy. Jediną rzeczą, która może to uczynić, jest krawędź miecza.

Reece obejrzał się, przerażony.

– Gwendolyn nigdy nie zabije niewinnych ludzi – odparł.

– Wiem – odrzekł Srog – i właśnie dlatego obawiam się, że wielu naszych ludzi zginie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stara stała na murach fortecy swojej matki. Kwadratowej, kamiennej fortecy, tak starej jak ta wyspa. Było to miejsce, w którym mieszkała, odkąd zmarła jej matka. Dziewczyna szła wśród murów, szczęśliwa, że wreszcie ukazało się słońce. Patrzyła w stronę horyzontu i, przy wyjątkowo dobrej widoczności, obserwowała jak statek Reece'a odpływa coraz dalej. Patrzyła jak jego okręt odłącza się od floty, chciała patrzeć na niego tak długo jak tylko mogła. Obserwowała więc jak statek zbliża się do linii horyzontu, każda kolejna fala oddalała go od niej.

Mogłaby obserwować statek Reece'a przez cały dzień, jeśli tylko wiedziałaby, że on tam jest. Nie umiała znieść, że odpływa. Czuła się jakby część jej serca, część jej samej, opuszczała wyspę.

W końcu, po tych wszystkich latach, na tej samotnej, okropnej, jałowej wyspie, Stara czuła, że ogarnia ją radość. Spotkanie z Reecem sprawiło, że na nowo poczuła, że żyje. Spotkanie to zapełniło pustkę, którą Stara miała w sobie. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że przez te wszystkie lata owa pustka tak bardzo ją dręczyła. Teraz, kiedy wiedziała, że Reece odwoła ślub, kiedy wiedziała, że do niej wróci, że zostaną sobie poślubieni, że wreszcie będą ze sobą na zawsze, Stara wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Że wszystkie nieszczęścia, które

musiała znosić w swoim życiu, były tego warte.

Musiała jednak przyznać, że pewna mała część niej czuła się źle z powodu Selese. Stara nigdy nie chciała zranić niczych uczuć. Z drugiej strony, wiedziała, że stawką jest tutaj jej życie, jej przyszłość, jej mąż – wiedziała również, że to jedyne uczciwe wyjście z tej sytuacji. Koniec końców to ona, Stara, знаła Reece’a przez całe swoje życie, odkąd byli dziećmi. To ona była Reece’a pierwszą i jedyną miłością. Ta druga dziewczyna, Selese, ledwie go знаła i to w dodatku tylko przez chwilę. Na pewno nie znała go tak dobrze jak Stara. Nie mogła go tak dobrze znać.

Selese, tłumaczyła sobie Stara, zapomni o wszystkim i znajdzie sobie kogoś innego. Stara zaś, gdyby miała go stracić, nigdy by się z tym nie pogodziła. Reece był całym jej życiem. Jej przeznaczeniem. Byli dla siebie stworzeni, tak było od zawsze. Reece najpierw był jej mężczyzną i, jak poostrzeżała to Stara, to Selese chciała go jej odebrać, a nie na odwrót. Stara chciała tylko zabrać to, co już do niej należało. To, do czego miała pełne prawo.

Niestety, Stara nie potrafiła postąpić inaczej, choć próbowała. Niezależnie od tego co racjonalnie wydawało jej się dobre, a co złe, nie potrafiła się temu podporządkować. Przez całe jej życie wszyscy wokół – a także jej własny zdrowy rozsądek – powtarzali jej, że kuzyni nie powinni być razem. I nawet wtedy, nie mogła tego słuchać. Całym sercem kochała i uwielbiała Reece’a. Od zawsze. I nic co ktokolwiek miałby powiedzieć, nie było w stanie

tego zmienić. Ona *musiała* być z nim. Nie było innej możliwości. Kiedy Stara stała tam, patrząc w dal, obserwując jak jego statek robił się coraz mniejszy i mniejszy, usłyszała czyjeś kroki. Ktoś inny był na dachu fortecy. Zobaczyła, że to jej brat, Matus, który szybko podążył w jej kierunku. Ucieszyła się na jego widok, jak zawsze. Można powiedzieć, że Stara i Matus przez całe życie byli najlepszymi przyjaciółmi. Różnili się od reszty swojej rodziny, od reszty Wyspiarzy z Wysp Górnych. Oboje gardzili swoim rodzeństwem i swoim ojcem. Stara uważała, że oboje z Matusem są bardziej dystyngowani i szlachetniejsi niż pozostali. Resztę rodziny postrzegała jako osoby zdradliwe i niegodne zaufania. Było to trochę tak, jakby tworzyli z Matusem małą rodzinę, wewnątrz rodziny.

Stara i Matus mieszkali na osobnych piętrach fortecy ich matki, w odosobnieniu od innych, którzy z kolei zamieszkiwali zamek Tirusa. Teraz, kiedy ich ojciec był w więzieniu, ich rodzina była podzielona. Jej pozostali bracia, Karus i Falus, winili ich za zaistniałą sytuację. Matusowi zawsze mogła ufać, wiedziała, że weźmie jej stronę. On też zawsze mógł na niej polegać.

Ci dwoje wiele razy rozmawiali o tym, aby opuścić Wyspy Górne i przenieść się na kontynent, dołączyć do tych drugich MacGilów. A teraz, nareszcie, wydawało się, że wszystkie te rozmowy mogą stać się rzeczywistością. Szczególnie po tych wszystkich sabotażowych działaniach, których Wyspiarze dopuścili się na flocie Gwendolyn. Stara nie mogła znieść myśli,

że musi tu dłużej mieszkać.

– Bracie – Stara powitała go radośnie.

Jednak oblicze Matusa było niespotykane zachmurzone, od razu spostrzegła, że coś go niepokoi.

– O co chodzi? – zapytała. – Co się stało?

Spojrzał na nią i potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Myślę, że wiesz co jest nie tak, siostrzyczko – powiedział.

– Nasz kuzyn. Reece. Co się między wami wydarzyło?

Stara zarumieniała się i odwróciła plecami do Matusa, na powrót patrzyła w stronę oceanu. Wychyliła się, usiłując dostrzec w oddali statek Reece’a. Jednak na próżno – zniknął już z pola widzenia. Przeszła przez nią fala gniewu, przegapiła ostatnie spojrzenie na Reece’a.

– To nie twoja sprawa – warknęła.

Matus nigdy nie pochwalał jej związku z kuzynem, a ona miała tego dość.

Był to jedyny punkt co do którego się nie zgadzali, jedyna rzecz, która ich od siebie oddalała. Nie obchodziło ją co Matus – czy ktokolwiek inny – sądził na ten temat. Nikogo nie powinno to obchodzić, tak długo, jak dotyczyło to tylko niej.

– Wiesz, że on bierze ślub, prawda? – Matus zapytał oskarżycielsko, zbliżając się przy tym do niej.

Stara potrząsnęła głową, aby odepchnąć od siebie tę okropną myśl.

– Nie ożeni się z nią – odpowiedziała.

Matus spojrzał na nią zdziwiony.

– Skąd wiesz? – naciskał.

Odwróciła się w jego kierunku. Była pewna siebie.

– Powiedział mi. A Reece nigdy nie kłamie.

Matus spojrzał na nią wstrząśnięty. Po chwili jego twarz zachmurzyła się.

– Czyli przekonałaś go żeby zmienił zdanie, tak?

Popatrzyła niepokornie na brata, była teraz wściekła.

– Nie musiałam go do niczego przekonywać – powiedziała. – Sam tego chciał. Dokonał wyboru. On mnie kocha. A ja kocham jego.

Matus zmarszczył brwi.

– Nie przeszkadza ci, że zniszczysz serce tej dziewczyny? Kimkolwiek ona jest.

Spojrzała gniewnie, nie chcąc tego usłyszeć.

– Reece kocha mnie dużo dłużej, niż tę nową dziewczynę.

Matus nie ustępował.

– A co z całym pieczołowicie przygotowanym planem na rozwój królestwa. Zdajesz sobie sprawę, że to nie jest tylko ślub. To polityczny teatr. Spektakl dla mas. Gwendolyn jest Królową i to jest również jej ślub. Ludzie z całego królestwa i z odległych krain wszystko to obserwują. Co się stanie jeśli Reece odwoła ślub? Myślisz, że Królowa przejdzie nad tym do porządku dziennego? A MacGilowie? Sprawisz, że cały Krąg pograży się w nieładzie. Nastawisz ich przeciwko nam. Czy twoje pragnienia są tego wszystkiego warte?

Stara patrzyła na Matusa, zimno, hardo.

– Nasza miłość jest silniejsza niż jakikolwiek spektakl. Niż jakiekolwiek królestwo. Nie zrozumiałbyś. Nigdy nie kochałeś nikogo tak jak my siebie.

Teraz Matus całkowicie poczerwieniał. Potrzęsnał głową, wyraźnie opanowała go furia.

– Popełniasz największy błąd swojego życia – powiedział. – I życia Reece’a. Pociągniesz ze sobą wszystkich na dno. Twoja decyzja jest głupia, dziecinna i samolubna. Twoja dziecięca miłość powinna przejść do przeszłości.

Westchnął zirytowany.

– Napiszesz obszerną wiadomość do Reece i wyślesz mu ją sokołem. Powiadomisz go, że zmieniłaś zdanie. Nakażesz mu poślubić tę dziewczynę. Kimkolwiek by ona nie była.

Starę ogarnął ogromny gniew. Była wściekła na brata, jak nigdy dotąd.

– Właśnie przekroczyłeś granicę – powiedziała. – Nie udawaj, że dajesz mi rady. Nie jesteś moim ojcem. Jesteś moim bratem. Odezwij się do mnie w ten sposób raz jeszcze, a możesz już nigdy więcej ze mną nie rozmawiać.

Matus patrzył na nią wyraźnie oszołomiony. Stara nigdy nie odzywała się go niego w ten sposób. I, z pewnością, wiedziała co mówi. Jej uczucia do Reece’a były dużo silniejsze niż jej więź z bratem. Dużo silniejsze niż cokolwiek innego w jej życiu.

Matus, zszokowany i zraniony, odwrócił się wreszcie na pięcie i wybiegł z dachu.

Stara popatrzyła znów w stronę morza, mając nadzieję, że uda

jej się dojrzeć statek Reece'a. Wiedziała jednak, że już dawno zniknął za horyzontem.

Reece, – pomyślała – kocham Cię. Nie zbachaj z kursu. Cokolwiek stanie na twojej drodze, nie zbachaj z obranego kursu. Bądź silny. Odwołaj ślub. Zrób to dla mnie. Dla nas.

Stara zamknęła oczy i zacisnęła dłonie, błagała, modliła się do każdego znanego jej boga, aby Reece miał siłę do wytrwania w swoim postanowieniu. Aby po nią wrócił. Aby wreszcie mogli być razem.

Niezależnie od tego, jaką cenę trzeba będzie za to zapłacić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Karus i Falus, synowie Tirusa, szybko schodzili spiralnymi, kamiennymi schodami, coraz niżej i niżej, aż do lochów, w których przetrzymywany był ich ojciec. Byli wściekli z powodu poniżenia, jakiego doznawali schodząc do tego miejsca, aby spotkać się z ojcem, wielkim wojownikiem, który był prawowitym władcą Wysp Górnych. W milczeniu przysięgali, że się zemszą.

Tym razem, przynosili nowiny, które mogły wszystko zmienić. Wieści, które wreszcie napawały jakąś nadzieją.

Karus i Falus maszerowali w dół aż dotarli do żołnierzy pełniących straż przy wejściu do więzienia. Mężczyzn wiernych Królowej. Zatrzymali się, czerwoni od gniewu, byli wściekli, że musieli znosić poniżenie, którego wymagało poproszenie o widzenie z ojcem.

Ludzie Gwendolyn przepytali ich na różne okoliczności, a następnie skinęli do siebie głowami i wystąpili naprzód.

– Wyciągnijcie ręce – rozkazali Karusowi i Falusowi.

Ci wykonali polecenie, czekając aż strażnicy ich rozbiją.

Następnie żołnierze otworzyli zamki żelaznej bramy, po czym powoli ją uchylili. Pozwolili braciom wejść, zamykając bramę z trzaskiem i blokując ją za nimi.

Karus i Falus wiedzieli, że mają niewiele czasu. Mogli spędzić z ojcem jedynie kilka minut, jak zazwyczaj. Odwiedzali go raz

w tygodniu, odkąd tylko został uwieczniony. Po upływie tych kilku minut, ludzie Gwendolyn zawsze kazali im wychodzić.

Szli do końca długiego korytarza. Wszystkie cele, które mijali były puste, ich ojciec był jedynym osadzonym w tym starym więzieniu. W końcu dotarli do ostatniej celi po lewej stronie, ledwie oświetlonej przez migającą przy ścianie pochodnię. Odwrócili się w stronę krat i z uwagą zaczęli oglądać pomieszczenie, w poszukiwaniu swojego ojca.

Powoli Tirus wyszedł z ciemnego zakamarka celi i podszedł do krat. Spojrzał na nich. Jego twarz była wychudzona, broda zaniedbana, był ponury. Patrzył na nich bez nadziei, wyglądał na człowieka, który wiedział, że już nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Karusowi i Falusowi serce krajało się na ten widok. Wszystko to sprawiło, że jeszcze bardziej pragnęli znaleźć sposób, aby go uwolnić i zemścić się na Gwendolyn.

– Ojciec – powiedział Falus z nadzieją w głosie.

– Przynosimy najnowsze wieści – dodał Karus.

Tirus spojrzał na nich, wyczuwając dźwięk nadziei w ich tonie.

– Mówcie zatem – warknął.

Falus odchrząknął.

– Wygląda na to, że nasza siostra na nowo zakochała się w naszym kuzynie, Reece’u. Szpiegzy przekazali nam, że planują wziąć ślub. Reece ma zamiar odwołać swój ślub na kontynencie i zamiast tego poślubić Starę.

– Musimy znaleźć sposób, żeby ich powstrzymać – powiedział

oburzony Karus.

Tirus patrzył na nich bez wyrazu, ale mogli dostrzec, że jego oczy zwęziły się, kiedy usłyszał to wszystko.

– Czyżby? – Powiedział powoli Tirus. – A to niby dlaczego? Bracia spojrzeli na ojca skonfundowani.

– Jak to dlaczego? – zapytał Karus. – Nasza rodzina nie może połączyć się z Reecem. Byłoby to na rękę Królowej. Nasze rodziny zostałyby zespolone i Gwendolyn uzyskałaby całkowitą kontrolę nad sytuacją.

– To sprawiłoby, że utracilibyśmy ostatnią uncję niepodległości, jaką w tej chwili wciąż mają nasi ludzie – wtrącił Falus.

– Pierwsze kroki zostały już powzięte – dodał Karus. – A my musimy znaleźć sposób, aby ich powstrzymać.

Czekali na odpowiedź, jednak Tirus jedynie powoli pokręcił głową.

– Głupi, głupi chłopcy, – powiedział powoli, jego głos stawał się coraz bardziej ponury, nie przestawał potrząsać głową – dlaczego wychowałem tak głupich chłopców? Czy naprawdę niczego was nie nauczyłem przez te wszystkie lata? Wciąż patrzycie tylko na to co znajduje się przed wami, a nie na to co za tym stoi.

– Nie rozumiemy o czym mówisz, Ojciec.

Tirus się skrzywił.

– To jest właśnie powód, dla którego znalazłem się w tej pozycji. To jest powód, dla którego teraz to nie wy władacie.

Przeszkodzenie w zawarciu tego przymierza byłoby najgłupszą rzeczą jaką zrobilibyście w życiu i najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się przydarzyć naszej wyspie. Jeśli nasza Stara poślubi Reece'a, będzie to najlepsza rzecz jaka w chwili obecnej może się przydarzyć nam wszystkim.

Spojrzeli na siebie zdziwieni, niczego z tego nie rozumieli.

– Najlepsza? Jak to?

Tirus westchnął zniecierpliwiony.

– Jeśli nasze dwie rodziny się połączą, Gwendolyn nie będzie mogła trzymać mnie w więzieniu. Nie będzie miała wyboru i będzie musiała mnie uwolnić. To wszystko zmieni. Nie odrze nas to z siły – ale nam jej doda. Będziemy uznanymi MacGilami, będącymi na takich samych prawach jak ci z kontynentu. Gwendolyn będzie w stosunku do nas zobowiązana. Nie widzicie tego? – zapytał. – Dziecko Reece'a i Stary będzie tak samo naszym potomkiem, jak i ich.

– Ale Ojczy, to jest nienaturalne. Oni są kuzynami.

Tirus pokiwał głową.

– Polityka nie na nic wspólnego z naturą, synu. Ta unia musi się zawiązać – nalegał z przekonaniem w głosie. – A wy dwaj zrobicie wszystko co w waszej mocy, aby to właśnie się stało.

Karus odchrząknął, zdenerwowany, niepewny.

– Ale Reece właśnie odpłynął na kontynent – powiedział. – Jest za późno. Reece, jak słyszeliśmy, już podjął decyzję.

Tirus podniósł się i uderzył w żelazne kraty z taką siłą z jaką życzyłby sobie uderzyć Karusa w twarz. Karus odskoczył

zaskoczony.

– Jesteście nawet głupszy, niż mi się wydawało – powiedział Tirus. – Sprawicie że to się stanie. Macie mieć co do tego całkowitą pewność. Mężczyźni zmieniali zdanie, w ważniejszych kwestiach. I wy macie mieć pewność, że Reece zdanie zmieni.

– Jak to zrobić? – zapytał Falus.

Tirus stał tam zastanawiając się co zrobić. Pocierał swoją brodę przez dłuższą chwilę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy jego oczy pracowały, skupione, myślące, układające plan. Po raz pierwszy w jego oczach pojawiły się nadzieja i optymizm.

– Ta dziewczyna, Selese, ta z którą ma się ożenić, – powiedział w końcu Tirus – ona musi się dowiedzieć. Odnajdziecie ją. I dostarczycie jej dowód... dowód miłości Reece'a i Stary. Powiecie jej o tym pierwsy, zanim on do niej dotrze. Musicie być pewni, że dziewczyna się dowie, że Reece kocha inną. W taki sposób, nawet jeśli Reece by się rozmyślił i tak będzie już za późno. Będziemy mieli pewność, że się rozstaną.

– Ale skąd mamy wziąć dowód ich miłości? – zapytał Karus.

Tirus potarł brodę myśląc. W końcu się poderwał.

– Pamiętacie te zwoje? Te, które przechwyciliśmy kiedy Stara była młoda? Te listy miłosne, które pisała do Reece'a? I te, które on odpisywał do niej?

Karus i Falus skinęli głowami.

– Tak, – powiedział Falus – przechwytywaliśmy sokoły.

Tirus skinął głową.

– Są schowane w moim zamku. Zanieście jej te listy.

Powiedzcie jej, że są aktualne i zróbcie to w przekonujący sposób. Dziewczyna nigdy nie odgadnie ich wieku – i wszystko będzie załatwione.

Karus i Falus w końcu pokiwali głowami, uśmiechając się, rozumiejąc sposób myślenia ich ojca, jego spryt i mądrość.

Tirus również się do nich uśmiechnął. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

– Nasza wyspa rozkwitnie na nowo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Thor siedział na grzbiecie swego konia i prowadził go wzdłuż rzędu kandydatów do Legionu. Wszyscy ci chłopcy stali przed nim w szeregu na baczność, na nowej arenie Legionu.

Thor spoglądał na dziesiątki nowych twarzy, analizując wnikliwie każdą z nich – czuł na sobie ciężar odpowiedzialności. Nowi rekruci przybyli tutaj z całego Kręgu. Wszyscy chętni, aby dołączyć do odbudowywanego Legionu. Wybranie nowych żołnierzy było trudnym zadaniem – wszak to oni będą stanowili w najbliższych latach podporę Kręgu.

Jakaś część Thorgrina czuła, że nie zasługuje, aby tutaj być. Przecież nie tak wiele miesięcy temu on sam tak stał, mając nadzieję, że zostanie wybrany do oddziału. Kiedy myślał o tym teraz, wydawało mu się, że od tego czasu minęły wieki. Było to zanim spotkał Gwen, zanim urodziło mu się dziecko, zanim został wojownikiem. Teraz to jemu powierzono odbudowę Legionu, to on ma wskazać ludzi, którzy zastąpią wszystkie dzielne dusze, które zginęły w obronie Kręgu.

Kiedy Thor przyglądał się chłopcom, ujrzał cmentarz, który wzniósł. Nagrobki wystawały z ziemi lśnić w późnopołudniowym słońcu. Zawsze będą przypominały im o minionym Legionie. To Thor wymyślił, aby pochować ich tutaj, na obrzeżach nowej areny – dzięki temu zawsze będą obecni, na zawsze zostanie zachowana ich pamięć i zawsze będą

towarzyszili nowym rekrutom. Thor czuł nad sobą ich ducha, pomagali mu, motywowali go.

Cieszył się, mając świadomość, że jego bracia z Legionu, Reece, Conven, Elden i O'Connor zostali wysłani w różne części Kręgu, aby załatwić konkretne sprawy. On sam mógł tutaj pozostać, być blisko domu i skupić się na swoich zadaniach. Był Kapitanem Legionu, więc dość naturalne było to, aby to właśnie jemu powierzyć odpowiedzialność nad odbudową formacji.

Thor patrzył na dziesiątki stojących przed nim chłopców. Z niektórymi wiązał już pewne nadzieje, niestety nie ze wszystkimi. Starali się najlepiej jak mogli, aby zwrócić jego uwagę, kiedy się do nich zbliżał. Wiedział już, że niektórzy z nich nigdy nie będą wojownikami; inni zaś mogą nimi być, potrzebują tylko odpowiedniego treningu. W ich oczach można było dostrzec niepokój, strach przed tym, co nastąpi.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.